№ 32 Warszawa, dnia 28 Lipca (9 Siepnia) roku 1879

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FRANCISZEK COPPÉE.

POETA FRANCUZKI.

przez S. z Ż. D.

Wśród młodszego pokolenia poetów francuzkich, pierwsze niewątpliwie dziś miejsce zajmuje Franciszek Coppée. Potrafił on utorować sobie własną drogę, co już nadzwyczaj wiele znaczy. Droga to wytknięta po ziemskim smugu: poeta nie rozwija nigdy orlich skrzydeł, nie leci ku słonecznym wyżynom, ale też nie pełza nigdy w ziemskiem bagnie, nie tarza się w miejskim rynsztoku, jak tylu dzisiejszych realistów. Czerpie on natchnienie z rzeczywistego życia, ale usiłuje podnieść rzeczywistość do ideału, wyszukuje w niéj dodatniéj strony. Wszystkie jego mniejsze czy większe poemata, mają charakter rodzajowych obrazków, na tem właśnie polega jego oryginalność.

Drugą niepospolitą zaletą Coppée'go, jest nadzwyczajna wytworność formy. Stoi on dziś na czele nowéj szkoły tak zwanych *Parnasistów*, którzy wzięli sobie za cel podnieść język do najwyższego stopnia doskonałości: słowem, połączyć grecki klasycyzm z nowożytnym romantyzmem; z pierwszego wziąść wytworną formę, z drugiego swobodę i rozmaitość w pomysłach. Coppée świetnie przedstawia tę szkołę; każdy wiersz jego pobrzmiewa dźwiękiem metalicznym, w żadnym nie dopatrzeć próżnego wyrazu ani najmniejszego zaniedbania.

Dzięki tym różnostronnym zaletom, Franciszek Coppée zjednał sobie wielką popularność we Francyi. Utwory jego znajdują skwapliwych wydawców i chętnych czytelników; powtarzane przez pierwszych artystów dramatycznych, na koncertach i porankach, wywołują zawsze zasłużone oklaski. Słusznie też do poety zastosować można słowa, któremi maluje śpiewaka wymarzonego w swéj fantazyi.

Myśl jego w cudne zawsze rąbki przysłonięta;
Hodował swoje pieśni jak w klatce ptaszęta,
A gdy skrzydła krasnemi porosły im pióry,
Że mogły w nadpowietrzne ulecieć lazury,
Szczelnie zwarte drzwi klatki rozmykał nareszcie,
I ptaszyny po całem rozbiegły się mieście,
A lubo z gościnności to miasto nie słynie,
Ten i ów dał przytułek wędrownéj ptaszynie,
Czy w pałacu złoconym, czy w progu poddasza,
Każdy rad miłym gościom, nikt ich nie wypłasza.

Dziesięcioletnie prace poety, akademia Francuzka w r. 1876, uwieńczyła nagrodą sześciu tysięcy franków, dołączając do datku słowa gorącéj zachęty, aby wytrwał na pięknéj drodze. Ani wątpić że uczony ten aeropag otworzy kiedyś progi swoje poecie. Urodzony w r. 1843, ma dopiero lat trzydzieści sześć, musi więc poczekać lat kilka, aby przystroić się w palmy akademickie, na które już niewątpliwie zasłużył.

Ufny w zdobytą popularność, ulegając przytem namowom przyjaciół, poeta wystąpił w tym roku z trzema publicznemi odczytami. W obec licznego zgromadzenia, powtarzał najcelniejsze utwory swoje, dopełniając każdy z nich osobnym komentarzem.

Pojąć w rzeczy samej nie możemy, jakim sposobem Coppée przyrosły od lat młodych do bruku paryzkiego, a więc znający do gruntu sarkastyczną werwę Paryżanów, mógł się narazić na to publiczne wystąpienie. Nic ciekawszego zapewne dla psychologa, jak śledzić pobudki twórczych natchnień w życiu poetów, ztąd chwytamy z radością każdy ich świstek, każde słowo mimochodem rzucone; ztąd listy przyjaciół, jak naprzykład Odyńca o Mićkiewiczu tak drogiem są dla nas dopełnieniem, czego oni wypowiedzieć nie mogli lub nie chcieli. Inna zupełnie rzecz, gdy słyszymy słowa wyrzeczone z katedry nie przez pychę, nie do samych tylko psychologów, lecz do tłumu chciwego wrażeń, gotowego przekręcić, ośmieszyć każdy wyraz! Mimowoli tu nasuwa nam się na myśl prześliczna zwrotka Pola.

Mego serca pieśni własnéj,
Słucha tylko miesiąc jasny
I stuletni dąb.

Tą *pieśnią własną* o któréj mówi Janusz, cóż może być innego, jeśli nie ta pobudka twórcza, co jak ranny skowronek zadzwoniła w duszy poety, zaczem zdołał oblec ją w formę słowa!

„Co nas obchodzi, zawołali złośliwi Paryżanie, kiedy wyrżnęły się pierwsze zęby poecie, kiedy i jak skleił pierwsze swe rymy, jakie spotkał zawody i nadzieje? Byle potrawa była smaczną, mniejsza o to jak ją kucharz przyprawił!“ Takie pociski sypnęły się w dziennikach, nazajutrz po ostatnim odczycie. Zwolenników poety, oburzyły te żarty niewczesne, lecz i sami żywo cierpieli, widząc jak sympatyczny śpiewak rozrzuca złotą uczuć swych przędzę, na pastwę niemiłosiernym szydercom.

Wśród odczytanych poemacików, podobała się powszechnie legenda *Powój*, wysnuta z czeskich podań o napadzie Husyty Prokopa na miasto Egrę. Nie powtarzamy jéj tu, niedawno bowiem przekład nasz, ogłoszony był w kronice Rodzinnéj. Z tejże saméj przyczyny, przemilczemy o *Żniwie mieczów*, z podań o Dziewicy Orleańskiéj, pod któréj okiem, krzyże zatknięte na mogiłach rycerzy, przemieniły się w tysiące ostrych szablic. Obrazek ten drukowaliśmy w Bibliotece Warszawskiéj, równie jak inny p. t. *Rozbitek*, w którym stary majtek opowiada dramatyczną przygodę z lat młodych: zawziętą walkę z wściekłym kruczkiem, jedynym przyjacielem sieroty!

Przytaczamy za to legendę o *Ubogiéj wdowie*.

Onego czasu Jezus z uczniem Piotrem w parze,

Chodzili zmordowani po słonecznym skwarze,
W pobliżu Genezareth, nad jeziora brzegiem:
Z boku figowe drzewa rosną tam szeregiem,
Biedna chata rybacka tuli się w ich cieniu,
U progu chaty wdowa zasiadła w milczeniu
Lice jéj długą, czarną pokryte zasłoną,
Z cicha buja kołyskę i kręci wrzeciono.
Pan z uczniem patrzą na nią, acz nie dostrzeżeni,
Ukryci przed jéj okiem splotami zieleni.

Nagle żebrak w łachmanach, pochylony laty,
Z wielką czarą na głowie staje w progu chaty,
I rzecze do niewiasty co kołysze dziecię;
—„Matko! starość brzmieniem barki moje gniecie,
Mam do sąsiedniéj wioski ponieść ten dzban mleka
Patrz, omdlałem na siłach, droga niedaleka,
Alež sam, bez pomocy nie postąpię kroku
Tchu zabrakło mi w piersi, pociemniało w oku,
Miałem dostać obola za pracę spełnioną.“

Niewiasta z rąk wypuszcza nić nie doprzędzioną,
Powstaje bez namysłu, a uśmiech jéj słodki;
Nie zatrzyma jéj nawet kwilenia sierotki;
Bierze dzban z głowy starca, podąża z nim w drogę

A Piotr na to:“ pochwalić nie mogę
Uczynku téj niewiasty, bliźnich wspierać trzeba,
Lecz dom i dziecię własne zdać na łaskę nieba,
Dla pierwszego przybłędy co na drodze stanie,
To więcéj niż powinność! Roztropnież to Panie?
Ktoś inny wziąłby czarę i poniósł do wioski.“

Temi słowy do Piotra odrzecze Mistrz Boski:
„—Zaprawdę, gdy ubogi uboższym od siebie
Da pomoc, toż mój Ojciec wesprze go w potrzebie,
Nie gań onéj niewiasty, bo wielka jéj cnota!“

Gdy Jezus rzekł te słowa, wchodzi w wiejskie wrota
I siadł w progu chaty na przyzbie spróchniałéj:
Wziął wrzeciono i wysnuł z kądziołki len biały,
Zakołysał dzieciątko, ukoił płaczące,
Powstał, skinął na Piotra, odeszli ku łące.

A kiedy biedna wdowa powróciła z drogi,
Nie śmie wierzyć swym oczom, drży serce niebogi:
Napróżno chce odgadnąć i pyta:“ O dziwo!
Kto mi uśpił synaczka? kto dosnuł przędziwo?

(*d. c. n.*)

Chciałabym być...

Chciałabym być ptaszyną,
By wzbić się pod niebiosa,
Chciałabym być krzewiną,
By na mnie szkliła rosa.
Chciałabym być gwiazdeczką,
Co w niebiosach gdzieś tli,
Chciałabym być tą rzeczką,
Co po kamykach szkli.
Chciałabym być wietrzykiem,
Gonić chmurki po niebie,
Chciałabym być słowikiem,
By zaśpiewać na glebie,
Chciałabym być mgłą lekką,
Co poprzedza zaranie,
Co się wznosi nad rzeką,
Zanim słońce powstanie:
A nareszcie bym chciała,
Nie żyć długo na świecie,
By wszystko com kochała,
Żałowało mnie przecie,
I by na méj mogile
Słowik nucił żałośnie,
By łza błysła na chwilę,
Choć na kwiatku przy wiośnie.

Zochna z nad Bucza.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XXVIII.

Późno już było wieczorem, gdy Maryan odprowadziwszy zacnego pana Krzysztofa do jego mieszkania, wrócił napowrót do rodziców którzy teraz bez świadków mogli rozmawiać o swoich bliższych domowych sprawach. Była także i Eliza, która z pewnym niepokojem zdawała się czekać na powrót brata.

Gdy Maryan wszedł do pokoju, ucieszył się że nikogo z obcych nie ma. Chciał bowiem w gronie rodziny pewną sprawę poruszyć, która mu w téj chwili więcéj niżeli kiedykolwiek na sercu ciężyła.

Sprawę tę ułatwił mu sam ojciec.

— Jaki to poczciwy człowiek ten pan Krzysztof zawołał.

— Zacny z kościami, dorzuciła pani Apolonia.

— Nawet się jakoś odmienił na korzyść, mówił dalej pan Salezy.

— Prawda, wtórowała mu żona, trochę jakoś więcéj stał się światowym człowiekiem. Pierwéj wyglądał na parobka, teraz oszlifował się trochę i wyszlachetniał. Nawet rozmowę umie dosyć dobrze prowadzić.

— Nic dziwnego, ojciec chował go w gorzelni i stajni, chłopiec nie bywał nigdzie i jak się zdaje nie wiele się uczył.

— Teraz wcale przyzwoicie mówi. Ktoby go pierwéj nie znał, nie widział rubasznych jego ruchów i wyrażeń dosadnych, nie byłby powiedział, że to ten sam człowiek. Wcale przyzwoity a nawet ma minę... bogatego amerykanina.

— Ma pieniądze, chciałby się teraz więcéj do świata garnąć.

— Ale z kąd mu się ta zacność i szlachetność wzięła? Przecież ojciec jego... pamiętam jak w brunatnym kożuszku po jarmarkach jeździł i woły kupował.

— Matka jego wyglądała jak klucznica i umiała tylko dobrze krów pilnować.

— Zkąd mu się ta szlachetna poczciwość wzięła?

Tak rozmawiano o człowieku, który dwa dni i dwie nocy nieustannie jechał, aby uspokoić przyjaciela że nieszczęście jego nie wiele złych skutków za sobą pociągnie.

Maryan słuchał téj rozmowy z wielkiem zadowoleniem, bo ona ułatwiała mu sprawę, którą chciał właśnie poruszyć. Eliza milczała zamyślona. Zdaje się że czekała końca téj rozmowy, która ją widocznie niecierpliwiła. Na nieszczęście Maryan ciągnął dalej wątek tejże rozmowy.

— Wyjątkowo zacny i poczciwy człowiek, ozwał się, a dla nas wszystkich jedyny dobrodziéj. Jak smutne byłoby nasze położenie teraz, gdyby nie pan Krzysztof? Czyż mógłby kto coś szlachetniejszego wymyślić, jak to sekretne ubezpieczenie majątku? Gdyby nieszczęścia nie było, któżby o tem co wiedział? Wyraźnie nie byłem za ubezpieczaniem wszystkiego.

— Szlachetność rzadka.

— Może obawiał się o pożyczkę którą dał tobie, zauważyła Eliza bawiąc się rękawiczką.

— Niesłuszny domysł, przerwał z pewnem oburzeniem pan Salezy, nie pomyślałaś nad tem co mówisz. Przecież gdyby ognia nie było, niktby nie wiedział i nikt nie byłby zwrócił téj summy, która jest dosyć znaczna...

— To prawda, Eliza nie ma słuszności. Nie trzeba zawsze z najgorszéj strony na ludzi patrzyć, dorzuciła pani Apolonia.

Eliza umilkła.

— Sądzę, ozwał się Maryan, że Eliza uznała już krzywdę, którą tem posądzeniem wyrządziła panu Krzysztofowi. To jest z gruntu zacny człowiek. Chciałbym, aby takiéj samej zacności był twój hrabia...

— Przecież mu zacności nie odbieram, przerwała szybko Eliza, a to tem więcéj w chwili, w któréj ta zacność tak była mi potrzebna.

— Była ci potrzebna? zapytał Maryan z ciekawością.

— Tak jest, odpowiedziała żywo Eliza, bo bez téj zacności pana Krzysztofa nie mogłabym moich zamysłów ostatecznie w życie wprowadzić. Hrabia naciska na mnie, a ja dłużéj zwlekać nie mogę. W końcu mogłoby się zupełnie zerwać. A tego ani ja nie chcę ani rodzice.

— O mnie nic nie mówisz? smutno zapytał Maryan.

— Ty jesteś teraz zajęty czem innem, z uśmiechem odparła Eliza.

— Więc ostatecznie decydujesz się za hrabiego...

— Już mu dziś powiedziałam.

— Chciałaś jeszcze lepiéj... poznać go.

— Widzę że jak na teraz bliżéj już go nie poznam. To co wiem, musi wystarczyć.

Nastąpiła długa pauza. Maryan posmutniał.

— Powiedziałaś, ozwał się, że zacność pana Krzysztofa pomaga twoim zamysłom. Jak to rozumiesz?

— Rzecz bardzo prosta, odpowiedziała Eliza, należy mi się jeszcze coś z Tuliwód. Pan Krzysztof przywiózł ci pieniądze które asekuracya ma wypłacić a które mnie się dostaną jako część mojéj należytości...

— Zapominasz córko ozwał się pan Salezy, że twój posag był wtedy prenotowany, gdy Tuliwody reprezentowały większy kapitał.

— Cóż mi do tego, że gospodarstwo późniejsze nie wiodło się?

— Przecież my wszyscy z tego kapitału żyli...

— Maryan nie zechce abym w domu moich rodziców płaciła mu za kawę i mięso?...

Maryan poczerwieniał na twarzy.

— Uchowaj Boże, zawołał, co ci się należy prawnie, to otrzymasz, gdybym miał buty z siebie sprzedać.

Eliza uśmiechnęła się.

— Po cóż te giesta dramatyczne, rzekła, i to w chwili, gdy jesteś w przededniu szczęścia, do którego nie mało się przyczyniłam.

Maryan spojrzał na siostrę i podał jéj rękę.

— Daruj mi, rzekł ze wzruszeniem, bo jestem w téj chwili czem innem podrażniony. Czy wiesz, że zacny, poczciwy pan Krzysztof myślał i marzył o tobie? Czy wiesz że przyjechał tutaj w tym celu, aby się... do ciebie zbliżyć?

Ciemny rumieniec oblał twarz Elizy.

— Jakto, zawołała żywo, czy śmiałby?...

— Wątpię, aby tak był nierozsądny, przerwała matka córce.

— Nie sądzę, aby nie widział niestosowności takiego kroku, dodał pan Salezy.

Maryan westchnął z całych piersi.

— Ale wracając do rzeczy, ozwała się Eliza czy mogę liczyć... na pieniądze?

— I owszem, dostaniesz je, jak tego żądasz, szybko odpowiedział Maryan.

Eliza uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Spodziewam się, rzekła po chwili, że wkrótce otworzy ci się źródło nowych dochodów... że nie będziesz potrzebował mieszać mojej osoby z amelioracyą gospodarstwa...

Maryan na to nic nie rzekł tylko rodzicom dobranoc powiedział i szybko wyszedł.

XXIX.

Zaledwie różowa jutrzenka w dalekiem odbiła się morzu, wstał Maryan, ubrał się szybko i zaczął chodzić po swoim pokoju.

Powszednie troski życia nie pozwoliły mu być szczęśliwym w téj chwili, jak mu się to należało.

Przykre, niemiłe myśli piekły go w głowie.

Nie mógł znieść bolesnego rozczarowania swego zacnego przyjaciela, który z takiem poświęceniem zajął się jego wyjątkowemi kłopotami. Dziś, jutro zażąda ten przyjaciel odpowiedzi na swoje zacne poczciwe marzenia, cóż mu odpowie.

Odpowiedź tę utrudniały jeszcze okoliczności. Przyjaciel ten wspierał go w potrzebie pieniędzmi swemi, wyłożył teraz na wspólny niby rachunek bardzo wiele, z tych pieniędzy nic nie chciał odciągnąć w téj chwili, zostawiając uregulowanie mniemanéj spółki do lepszych czasów...

Jakże to wszystko mogło wyglądać z daleka? Oto tak: że Maryan potrzebując pieniędzy robił nadzieje panu Krzysztofowi lub przynajmniéj zawczasu ich nie stłumił... a gdy się siostrze trafił Conte della Stella... pan Krzysztof dostał odkosza.

Ta myśl nie dała spać Maryanowi, ta myśl paliła go w téj chwili, gdy nadaremnie szukał jakiego wyjścia z téj niemiłéj sytuacyi.

Przynajmniéj jedną rzecz trzeba było natychmiast zrobić. Trzeba było panu Krzysztofowi zwrócić pieniądze. Trzeba było, przynajmniéj co do tego punktu, być czystym.

Nad tem przemyśliwał teraz Maryan. Ale trudno było myśleć o tem, na co nie było żadnego sposobu?...

Pan Krzysztof przyniósł mu znaczne pieniądze, ale w tych pieniądzach była większa część należąca się panu Krzysztofowi, jako wspólnikowi. Dodać do tego trzeba różne pożyczki, a nawet cały fundusz, potrzebny rodzicom i Elizie na pobyt w Wenecyi.

Cóż więc z tych pieniędzy mogło dla niego pozostać? Nic prawie. A za co odbudować spalone budynki? Co dać Elizie, która spłaty swego posagu koniecznie żąda? Z czego utrzymać na dal rodziców w obcem mieście?

O nowem źródle, o którem wspomniała Eliza nie myślał w téj chwili. Ubliżałoby to jego sercu.

Jakże tu wybrnąć teraz z tego położenia? Jakże puścić od siebie zacnego pana Krzysztofa z odkoszem a bez pieniędzy?

Nie, to nie mogło być w żaden sposób. Jeżeli nie serce Elizy to przynajmniéj pieniądze swoje musi poczciwy pan Krzysztof wziąć z sobą do domu.

Ale gdzie tych pieniędzy szukać?

I gdy Maryan nadaremnie sobie nad tem głowę łamał, zapukał ktoś z lekka do drzwi.

— *Entrez*, zawołał i stanął na środku pokoju.

Odchyliły się drzwi, a do pokoju wszedł nieznany człowiek, z całą swobodą, jaką daje wewnętrz świadomość własnéj swojéj godności.

— *Bitte*, rzekł gość nieznajomy po niemiecku, czy pan jesteś Maryan Jastrzębiec, właściciel Tuliwód?

Maryan spojrzał na nieznajomego.

Nieznajomy był to rosły, w średnim wieku mężczyzna z czarną brodą i nosem krogulczym. Miał na sobie ubiór elegancki z grubym złotym łańcuchem na kamizelce.

— Czego pan sobie życzysz? zapytał Maryan.

— Jestem negocyant z Galicyi...

— Możemy mówić po polsku.

— Nazywam się Goldfisz.

— Jeżeli się nie mylę... przyjeżdżasz pan z polecenia agenta nadwornego pana Juliana ***.

— Tak jest panie Jastrzębicki.

Weselsza myśl przebiegła Maryanowi po głowie.

— Pan zapewnie już wiesz o pożarze w majątku swoim, mówił daléj pan Goldfisz.

— Właśnie odebrałem wiadomość.

— Nieszczęście, ale cóż robić.

— Szczęście że wszystko było ubezpieczone.

— Było ubezpieczone?

Na twarzy pana Goldfisza malowało się teraz wielkie zdziwienie.

— Ale to nic, odparł z uśmiechem Maryan, jeżeli pan przyjeżdżasz z jaką propozycyą, możemy o niéj mówić.

— Myślałem że pan będziesz w potrzebie pieniędzy, a że zawsze szkoda puszczać się majątku, to chciałem panu proponować sprzedaż lasu...

— I owszem, dawno już o tem myślę. Na jakich warunkach chcesz pan nabyć?

— Drzewo teraz potaniało, zresztą to handel bardzo ryzykowny na większą skalę. Mogę tylko ofiarować...

Tu wyraził cyframi pan Goldfisz cenę, która mimo gorącego pragnienia pieniędzy w téj chwili, zadziwiła Maryana cynicznością swoją.

Spostrzegł to pan Goldfisz.

— Zresztą ja na pana nie naciskam, rzekł po chwili, robię to więcéj dla pana agenta nadwornego, który mnie o to prosił, a z którym mam różne interesa. Możemy taką ugodę zrobić. Ja panu daję taką a taką summę z prawem wycięcia za nią trzysta morgów lasu po sto morgów co rok. Każdego zaś czasu, gdy mi pan zwróci kapitał z procentem cięcie lasu ustaje i kontrakt się niweczy. Pieniądze daję zaraz, a las otwierasz mi pan dopiero za pół roku.

Maryan namyślał się.

— Czy nie możnaby pieniędzy dostać na innych warunkach? zapytał po chwili.

— I owszem, odpowiedział łaskawie pan Goldfisz, dam panu na pół roku, a jeżeli za pół roku pan nie oddasz, będzie kara konwencyjna umówiona u notaryusza, pięćset guldenów każdy dzień zwłoki! albo las.

Maryan zamyślił się. Warunki pożyczki i sprzedaży lasu były straszne, ale nie o tem myślał teraz Maryan. Przedewszystkiem uśmiechało mu się to że w każdym razie miał... pół roku czasu przed sobą.

Na tę myśl opanował go tradycyjny nasz optymizm. Pół roku. Jakże to wiele czasu aby o czemś innem pomyśléć, aby wynaleźć nowe, lepsze źródło dochodu... Ile rzeczy do tego czasu zmienić się może. Można sobie wyrobić większą pożyczkę w banku... można lepiéj produkta sprzedać... można z resztą z sąsiadem wejść w interes jaki...

Pół roku czasu ile ponęty tradycyjnéj jest w tych słowach. Pół roku spokoju. Ileż to samo warte?...

A Maryan potrzebował koniecznie w téj chwili pieniędzy, pieniędzy dla Elizy i dla pana Krzysztofa Elizie trzeba dać, koniecznie dać, aby mu potem nie wyrzucała że jéj drogę do szczęścia zagrodził; a jeszcze konieczniéj trzeba było oddać panu Krzysztofowi, bo takiego długu nie mógł dłużéj znieść, w żaden sposób, chociażby to miało być jego ruiną...

— Czy pozwolisz pan, rzekł do pana Goldfisza, że nad temi propozycyami trochę się namyślę i z rodzicami pomówię?

— I owszem, odparł kupiec, kiedy mam przyjść znowu?

— Może po południu.

— Dobrze, żegnam pana.

— Po wyjściu Goldfisza wziął Maryan kapelusz i udał się do rodziców.

Zastał wszystkich. Była i Eliza.

— Otrzymałem właśnie ofertę pożyczki dla Elizy, rzekł z smutnem westchnieniem.

— Pożyczki? ozwała się Eliza, na co pożyczki? Przecież masz pieniądze od pana Krzysztofa za ubezpieczenie...

— Z tych pieniędzy nic wziąść nie mogę, odparł smutno Maryan.

— Przecież natychmiast nie trzeba stawiać budynków?

— O tem wcale nie myślałem.

— Na cóż ci tych pieniędzy?

Maryan spojrzał z uwagą na Elizę.

— Pieniądze te, rzekł powoli, trzeba będzie dać panu Krzysztofowi. Wiesz o tem dobrze, że od niego pożyczyłem na podróż waszą do Wenecyi, późniéj dał mi na gorzelnie i woły... a jeżeli coś mi o tobie wspomni, a ja mu odmówić będę musiał, to w takim razie pieniędzy jego zatrzymać u siebie nie mogę.

Złośliwy uśmiech zaigrał na twarzy Elizy.

— Żałuję mocno, ozwała się, że interesa twoje gospodarskie a osobliwie spekulacyą pana Krzysztofa pokrzyżowałam,—ale widzisz że temu nie winnam.

Szlachetny gniew zarumienił twarz Maryana.

— Mogę ci zaręczyć, odparł, że pożyczając pieniądzę od pana Krzysztofa, nie myślałem wcale o tobie, a mogę nawet przysięgnąć, że pan Krzysztof pożyczając mi pieniądze nie spekulował na ciebie.

— Za drugich nie ręcz, kochany Maryanie. Są ludzie którzy przy wszystkiem co robią, mają kredkę w ręku.

— Wyrządzasz krzywdę zacnemu człowiekowi. Być może że kiedyś tego pożałujesz.

Roześmiała się Eliza.

— Przynajmniéj o tym żalu moim nigdy się nie dowiesz, rzekła z twarzą zarumienioną.

— Ależ to rzecz skończona, ozwał się pan Salezy, nie ma co o tem mówić. Eliza wychodzi za mąż dobrze i świetnie, któżby tam jeszcze mówił o panu Krzysztofie. Nie sądzę jednak abyś potrzebował oddawać mu zaraz pieniądze, jeżeli te pieniądze pożyczył ci bez żadnéj myśli egoistycznéj.

— Wierzę że to zrobił, ale ja inaczéj postąpić nie mogę. Nie chcę, aby na mojem sumieniu ciężył bodaj cień jakiego wyrzutu. Muszę te pieniądze mu oddać, choćby mnie to bardzo wiele kosztowało.

Uśmiechnęła się Eliza.

— Wiesz co, Maryanie, zawołała, będzie to najlepsza próba twego przyjaciela. Jeżeli weźmie pieniądze, to będzie dowodem że spekulacya mu się nie udała.

— Nie mów tego, żywo odparł Maryan, bo ja w każdy sposób pieniądze muszę mu oddać, będzie chciał czy nie...

Nastąpiła pauza.

— Zresztą, ozwała się Eliza po chwili, pożyczka w dzisiejszych okolicznościach nie jest znowu tak wielkiem ryzyko. Przecież masz przed sobą...

— Właśnie chciałem to samo powiedzieć, odparł pan Salezy, przy dzisiejszych nadziejach...

Maryan wstrząsł głową jakby jakąś nieprzyjemną myśl odpędzał.

— To mnie tylko zachęca do téj pożyczki, ozwał się, że mam przed sobą do wycofania się pół roku czasu.

— Pół roku czasu, zawołała pani Apolonia, to jakiś prawdziwy dobrodziéj. Pół roku.

— Pół roku, dodał pan Salezy, to spory kawał czasu. Gdy kiedy taki interes zrobiłem, to zdawało mi się że na loteryi wygrałem. Co to się namyślać.

— W saméj rzeczy, zauważyła Eliza, a za pół roku mogą się interesa wasze tak uplanować, że wtedy bez żadnego kłopotu można będzie tę sprawę załatwić.

Maryan siedział zamyślony, jakby tych wszystkich słów nie słyszał. Kreślił coś palcem po stole jakby rachował.

— W najgorszym razie, ozwał się, mógłbym do tego czasu przeprowadzić jeden z moich planów, który na najgorsze czasy schowałem to jest aby część majątku rozparcellować i włościanom sprzedać.

— Ależ nie trzeba tego będzie, zawołał z ukrytym uśmiechem pan Salezy.

— I ja tak sądzę, rzekła pani Apolonia z wymownem wejrzeniem na męża.

— Zresztą, nie wiem, dodała z uśmiechem Eliza, jak moja pozycya materyalna do tego czasu nie wyklaruje. Może będę mogła...

Eliza urwała tu nagle, bo spostrzegła że wypowiada najskrytsze marzenia swoje, na wypowiedzenie których jeszcze czas nie nadszedł.

XXX.

Tego samego dnia po południu siedział Maryan w swoim pokoju i przeliczał banknoty które przed nim leżały. Zliczywszy wszystko, zawinął w papier i na bok odsunął, jakby na nie patrzyć nie chciał.

Mógł się w téj chwili słusznie gniewać na wszystkie sprawy światowe. Zaledwie bowiem pół godzinki mógł poświęcić swojéj narzeczonéj. Ale jakaż to była ta mała przestrzeń czasu. Ileż to razy jego serce serdecznie uderzyło wpatrując się w oczy tak wyjątkowéj kobiety, która wkrótce miała zostać towarzyszką jego życia?... Ale obowiązki życia powszedniego oderwały go od niéj, i kazały mu długo rozprawiać się z panem Goldfiszem póki interes wreszcie skończony nie został.

Teraz jeszcze gorsza czekała go rozprawa. Za chwilę miał przyjść do niego zacny pan Krzysztof. Sam szczęśliwy i marzący o tak rozkosznéj przyszłości, miał teraz zacnemu przyjacielowi odebrać zimną ręką wszystkie jego marzenia... Położenie to Maryana było bardzo przykre i bolesne. Myślał właśnie o niém a zimny dreszcz przechodził po całym ciele jego, gdy jakie kroki na schodach posłyszał.

Wreszcie usłyszał coś, co go jeszcze mocniéj zmartwiło... Usłyszał głos pana Krzysztofa, który dąc przez schody nucił sobie jakąś piosenkę.

Poczciwy człowiek. On potrzebuje pieśni w téj chwili, bo w sercu jego grają struny dla których koniecznie pieśni potrzeba, bo same słowa nie wystarczają...

Wkrótce otworzyły się drzwi. Z pieśnią na ustach wszedł pan Krzysztof do pokoju.

— Wiesz Maryanie, zawołał, zaraz przy progu, nie dziwię się, że tutaj tak prędko się zakochałeś. Toż to miasto miłości i poezyi. Gdziekolwiek spojrzyć to poezya, a w sercu człowieka zbiera się zaraz na miłość...

Maryan podał rękę przyjacielowi.

— Cóż cię do tak wysokich uczuć pobudza? zapytał z uśmiechem patrząc z uwagą na niego.

— Co? odparł z uniesieniem zacny pan Krzysztof, wszystko, wszystko. Gdzie tylko spojrzę co za czarodziejskie widoki. Alboż to człowiek widział w życiu co podobnego? Wprawdzie trzeba szaleństwa na to, aby na dnie morza budować domy pałace i kościoły. Toż to wszystko jakby w wodzie zanurzone było. Ależ co piękne, to piękne! Gdyby się człowiekowi po butelce storego węgrzyna coś rozkosznego przyśnić miało, nie mogłoby być nic innego jak tylko Wenecya...

— Tak ci się podobała?

— Ależ od rana chodzę i pływam, nasycić się nie mogę. A każdy żebrak śpiewa jak aktor w naszym teatrze. Wczoraj w nocy myślałem że mi się przyśniło, a tu stu gondolierów śpiewało chórem pieśni... Powiadam ci, że Wenecya to niebezpieczne miasto dla ludzi, którzy serca swego nie wyszafowali...

— Mówiłeś o widokach miasta, przerwał mu Maryan z obawy, że pan Krzysztof od serca przejdzie wprost do Elizy, który z tych widoków najlepiéj ci się podobał?...

— Pytaj się raczéj, który się niepodoba. Tu na każdym kroku można stanąć i patrzyć się... Nie dziwię się że dani Eliza tak ślicznie wygląda. Żyć w takiem otoczeniu, patrzyć na takie specyały, to więcéj jak dobra kuchnia, więcéj jak marcypany i torty... Co się pani Elizie tutaj najlepiéj spodobało?...

— Nie mówiliśmy z sobą o tem.

— Szkoda. Chodząc po tych marmurowych posadzkach na placu św. Marka widziałem tam wiele ładnych obrazów na sprzedaż. Wszystko prawie widoki Wenecyi. Byłbym jéj kupił to, co się jéj podobało...

— W takim razie musiałbyś kupić całą Wenecyę.

— Dalibóg, żebym to zrobił, gdybym tylko mógł kupiłbym świat cały i u jéj nóg złożył...

(d. c. n.)

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ **Bulwera**

z angielskiego przełożona przez M. G.

OSOBY.

Lord Glossmore.
Sir John Visey.
Sir Fryderyk Blount.
Stout.
Graves.
Evelin.
Kapitan Dudley Smooth.
Sharp.
Toke kamerdyner.
Krawiec.
Tapicer.
Złotnik.
Budowniczy.
Handlarz.
Portrecista.
Wydawca.
Fabrykant powozów.
Lady Franklin przyrodnia siostra sir Johna Vesey.
Georgiana córka sir Johna.
Klara, towarzyszka lady Franklin, kuzynka Evelyna.
Członkowie *** klubu służący.

Rzecz dzieje się w Londynie.

AKT I.

Scena I.

Salon w domu Sir Johna Vesey, drzwi w głębi prowadzące do drugiego salonu. Na prawo stół założony gazetami i książkami i. t. p. Na lewo kanapa i stół do pisania

Sir John i Georgiana.

Sir John (czytając list z czarną pieczęcią). Tak pisze że o saméj drugiéj: Drogi Sir Johnie, ponieważ od śmierci mojéj świętéj Maryi Hm! mowa o żonie; był jéj ofiarą, a teraz, robi ją świętą!

Georgiana. Więc cóż od czasu jéj śmierci?

Sir John. „Zajmowałem mieszkanie zbyt skromne żeby w nim damy przyjmować, pozwolisz mi więc pani przywieść ze sobą p. Sharp, prawnika, dla odczytania ostatniéj woli zmarłego pana Kordaunt któréj egzekutorem ja jestem, do pańskiego domu, ponieważ pańska córka jest najbliższą krewną zmarłego. Będę punkt o drugiéj. Henryk Graves.

Georgiana. I pewny tego jesteś ojcze, że ten biedny p. Mordaunt mnie zrobił swoją dziedziczką?

Sir John. O tak! najbogatszą dziedziczką w całéj Anglii. Czy możesz jeszcze wątpić o tém? Czyż nie jesteś najbliższą jego krewną, siostrzenicą, córką jego rodzonéj siostry? Przez cały czas pobytu jego w Furyach, kiedy zbierał ten ogromny majątek, myśmy zapomnieli kiedykolwiek przesyłać mu dowody bezinteresownego naszego przywiązania? Kiedy był ostatni raz w Anglii, a ty byłaś taka mała czyż mój dom nie był wtedy jego domem? Czyż nie posunąłem uprzejmości aż do jedzenia obrzydliwych jego potraw? Czyż nie palił papierosów stary brudas, to jest... biedny staruszek, chciałem powiedzieć, w najpiękniejszym moim salonie? A ty czyś go nie nazywała „ładnym wujaszkiem“ bo poczciwiec był próżny jak paw.

Georgiana. A taki był brzydki!

Sir John. Drogi nieboszczyk! Tak, tak niestety! był brzydki: jak kangur chory na żółtaczkę! A jeżeliby, pomimo tych oznak przywiązania nie zrobił cię swoją spadkobierczynią, no, w takim razie, najpiękniejsze uczucia naszego serca, węzły krwi; zasady sprawiedliwości, napróżno w nas wszczepiono!

Georgiana. Prześlicznie! Czy to ten sam ojcze ustęp z twojéj ostatniéj przemowy w wolno-mularskim klubie, w kwestyi kominiarzy?

Sir John. Mądre dziecko z ciebie! Co ona ma za pamięć! Usiądź Georgiano. W téj szczęśliwéj, to jest smutnéj chciałem powiedzieć, chwili, uważam że mogę powierzyć ci jedną tajemnicę. Widzisz ten piękny dom, liczną służbę,—wspaniałe srebra, wystawne obiady: każdy sądzi że Sir John Vesey jest bogaty.

Georgiana. A ty ojcze nie jesteś bogaty?

Sir John. Nie—nie jestem: wszystko to pozór. moje dziecko, wszystko blaga, na moją duszę! Dwie są zasady w życiu. Po pierwsze: ludzi nie cenią według tego czém są ale według tego czém się być wydają. Po drugie: jeźli się nie ma własnych zasług, ani własnych pieniędzy, trzeba spekulować na pieniądze lub zasługi innych. Mój ojciec np. zdobył tytuł zasługami jakie położył w armii

i umarł bez grosza. Na zasadzie jego zasług, otrzymałem pensyę wynoszącą 400 funtów rocznie, na podstawie tych 400 funtów zdobyłem kredyt na 800; na podstawie tych 800 funtów zaślubiłem twoją matkę z 10,000 funtów: na podstawie tych 10,000 zdobyłem kredyt na 40,000; i płaciłem Dickowi Gossip trzy gwinee tygodniowo za to tylko, żeby wszędzie i przed wszystkiemi nazywał mnie „Skąpy Jack!“

Georgiana. Oj! to nieprzyjemny przydomek!

Sir John. Ale drogocenna reputacya. Kiedy kogo nazywają skąpym, jest to toż samo co nazwać go bogatym; a kiedy kto jest uważany za bogatego, no, to jest ogólnie szanowany. Na zasadzie mojéj reputacyi, ugłaskałem wyborców, zmieniłem mój program i ustąpiłem miejsca ministrowi, który człowiekowi zajmującemu takie jak ja stanowisko nie mógł w zamian ofiarować mniéj jak miejsce przynoszące 2,000 fs. rocznie. To droga najlepsza do obrania w życiu. Blaga, moje dziecko! wszystkiem na świecie!

Georgiana. Muszę jednak przyznać że ty ojcze...

Sir John. Znam świat, zapewne. Teraz, co do majątku: ponieważ wydaję więcéj niż mam dochodu, nie mogę ci nic zostawić, pomimo to jednak nie rachując nawet zapisu twego wuja, jeszczebyś uchodziła w świecie za bogatą dziedziczkę, na zasadzie owych oszczędności „skąpego Jacka.“ Tož samo i z twojem wykształceniem. Nie odrzucałem nic z tego co służy na pokaz. Nie napychałem ci co prawda głowy kazaniami i historyami, ale za to rysujesz, śpiewasz, tańczysz, umiesz z wdziękiem chodzić; a to jest właśnie sposób w jaki edukują dziś młode panienki, ażeby były chlubą rodziców i błogosławieństwem męża... jeśli go ułowią. *A propos* męża: wszak wiesz że myśleliśmy o sir Fryderyku Blount?

Georgiana. Ach! ojcze jaki on jest miły!

Sir John. *Był miły*, moja droga, *był*, dopókiśmy nie wiedzieli o śmierci twego biednego wuja; ale teraz, taka jak ty dziedziczka, może dostać księcia. Ale gdzie u dyabła siedzi Evelin dziś od rana?

Georgiana. Nie widziałam go. Co to za szczególny człowiek, taki szyderczy zazwyczaj, a jednak potrafi być przyjemnym jak zechce.

Sir John. Szyderca i cynik. Nie wiadomo nigdy jak z nim wychodzić. Jest moim sekretarzem i ubogim krewnym nie mającym ani grosza, a jednak, niech mnie powieszą! jeśli nie patrzy z góry na nas wszystkich.

Georgiana. Więc pocóż trzymasz go ojcze, jeśli ci się to na nic nie zda?

Sir John. Co do tego mylisz się; jest on bardzo zdolny. On to układa moje mowy, pisze moje pamflety, kontroluje rachunki. Mój raport tyczący się ostatniéj komissyi, zrobił mi nie mały rozgłos, i był powodem że mnie obrano prezydującym w nowéj komissyi. Prócz tego Evelin jest naszym krewnym, nie bierze więc żadnéj pensyi: popłacają zazwyczaj w świecie dobrodziejstwa świadczone ubogim krewnym. Dobroczynność jest cnotą bardzo pożyteczną, szczególniéj jeśli nic nie kosztuje. Co do drugiéj naszéj krewnéj, Klary, to zupełnie inna rzecz. Jéj ojciec uznał za stosowne zrobić mnie jéj opiekunem, choć jéj nie zostawił ani grosza, to też jak widzisz, skłoniłem moją przyrodnią siostrę Lady Franklin, żeby mnie od niéj uwolniła.

Georgiana. Czy długo jeszcze Lady Franklin będzie bawić u nas?

Sir John. Nie wiem, moja droga: im dłużéj tém lepiéj. Mąż zostawił jéj znaczny majątek, na zupełną własność. Ale, otóż i ona!

Scena 11.

Lady Franklin, Klara, Sir John i Georgiana.

Sir John. Droga siostro, właśnie zajęci byliśmy wychwalaniem twoich przymiotów. Ale cóż to znaczy, już nie w żałobie?

Lady Franklin. Pocóżbym miała ubierać się w żałobę z powodu śmierci człowieka, którego nigdy nie znałam?

Sir John. Jednak może być jakiś legat.

Lady Franklin. W takim razie jeszcze mniéj powodów do smutku. Mój drogi Sir Johnie, uważam uczucia za pewien rodzaj własności, i nigdy nie udzielam kredytu na niepewnych podstawach.

Sir John (na stronie). Ograniczona kobieta. Ale ty Klaro, widzę że więcéj zwracasz uwagi na podobne rzeczy a jednak jesteś tylko bardzo, *bardzo*, *bardzo* daleką krewną zmarłego, w trzecim stopniu, o ile mi się zdaje.

Klara. Pan Mordaunt raz przyszedł był z pomocą memu ojcu; wdzięczność i żal po nim jedynie tem okazać mogę.

Sir John (na stronie). Wdzięczność! hm! lękam się czy panienka nie liczy na jakiś zapis.

Lady Franklin. Tak więc, pan Graves jest egzekutorem testamentu i u niego testament złożony? Ten sam pan Graves co to zawsze opłakuje swoje nieszczęścia i zgon ubóstwianéj Maryi, która jednak zatruwała mu życie?

Sir John. Ten sam pan Graves. Służba jego nosi czarną liberyą, powóz ma czarny, jeździ na karym wierzchowcu i pewien jestem że jeśli się kiedy ożeni, chcąc okazać cześć dla pamięci ubóstwianéj Maryi zaślubi niezawodnie brunetkę.

Lady Franklin. Ha! zobaczymy. (na str.) Biedny Graves, zawszem go lubiła, co to za doskonały mąż był z niego.

Wchodzi Evelin, siada i bierze do ręki książkę nie widziany przez nikogo.

Sir John. Co za massę krewnych ten testament wyprowadził na światło dzienne! Pan Stout, ekonomista, Lord Glossmore...

Lady Franklin. Którego ojciec wypożyczał pieniądze na fanty, a który naturalnie, wyznaje najgłębszą pogardę dla wszystkiego co pospolite, parweniuszowskie, ludowe.

Sir John. Sir Fryderyk Blount.

Lady Franklin. Sir Friederyk Blonut, który uważa *literę r* za zbyt *twardą* i dla tego unika bliższéj z nią znajomości; jeden z reprezentantów tego nowego pokolenia, które nie mając ani sił ani ducha żeby naśladować szaleństwa swych poprzedników, osłania swą nicość zniewieściało omdlewającym pozorem godności. Dawniéj młody człowiek z téj sfery szalał hałaśliwie bez pamięci: dziś jest spokojnie, głęboko zimny i samolubny. Nie zrobi nigdy nic niedorzecznego, nie powie nic niewłaściwego. (Zwracając się do Georgiany). Przepraszam cię, moja droga; zdaje mi się że Sir Fryderyk jest twoim wielbicielem, zapewnie na téj zasadzie że nie uważa „*coby mu to miało szkodzić*“ zakochać się w twojéj piękności... i posagu... Potem idzie nasz biedny kuzynek uczony. A! pan Evelin. jesteś tu pan?

Sir John. Evelyn, właśnie cię potrzebowałem: gdzieżeś siedział cały dzień? Czyś przeglądał te papiery? Ułożyłeś mój napis na nagrobek dla biednego Mordaunta, po łacinie? Czyś zdał sprawę z mojéj przemowy w Ecveter Hall? Czyś przejrzał rozprawy dotyczące komory, i... czyś potemperował używane pióra co leżą u mnie na biórku?

Georgiana. A dla mnie czyś pan kupił czarnéj filozeli? Byłeś pan dowiedzieć się o mój pierścionek? Czyś téż wstąpił po humorystyczne pisma ze względu na to że skutkiem tak smutnych okoliczności nie możemy wyjechać z domu?

Lady Franklin. Czyś się przekonał co rzeczywiście było mojemu skarogniademu koniowi? A na Operę kupiłeś mi bilet i bąka dla Karolka?

Evelin (czytając ciągle). Niezawodnie, Taley ma słuszność co do tego; bo postanowiwszy kwestyą tak... (podnosząc oczy) Pani, Sir John, Miss Vesey, zapewne potrzebujecie czegoś ode mnie? Taley zwraca uwagę że pomagać nawet niezasługującym na to wpływa korzystnie na rozwój naszych uczuć... Jestem na wasze rozkazy.

Sir John. Masz tobie! znowu go napadł jeden z jego złych humorów.

Lady Franklin. Dajesz mu osobliwszą wolność, Sir John.

Evelin. Będziesz pani mniéj tem zadziwioną. Lady Franklin, kiedy się dowiesz, że Sir John nie daje mi nic więcéj prócz tego. Teraz właśnie chcę się odwołać do jego wspaniałomyślności.

Lady Franklin. Przepraszam bardzo i przyznaję słuszność. Zdaje mi się że jestem tu zbyteczną, bo znając twoją skromność Sir Johnie, wiem że nie pozwalasz nikomu być świadkiem twoich dobrych uczynków. (odchodzi na stronę)).

Evelin. Nie mogłem dziś wypełnić pańskich poleceń. Byłem u biednéj kobiety, dawnéj mojéj niańki, ostatniéj przyjaciółki mojéj nieszczęśliwéj matki. Jest ona bardzo biedna, *bardzo* chora... umierająca i winna komorne za sześć miesięcy!

Sir John. Wiesz dobrze że byłbym najszczęśliwszym gdybym mógł uczynić co dla ciebie, ale niańka, (na str.) Niańki niektórych indywiduów są wiecznie chore, a tylu jest oszustów! Pogadamy zresztą o tem jutro. Smutne zajęcia dzisiejsze, pochłaniają całą moją uwagę. (patrząc na zegarek) Co widzę! tak już późno! Mam listy do pisania, a tutaj pióra nie potemperowane... (wychodzi).

Georgiana (wyjmując z kieszeni portmonetkę). Chyba dam to jemu. A jednak gdybym nie otrzymała zapisu? Ojciec daje mi tak mało... a przecież potrzebuję koniecznie tych kolczyków. (wkłada do kieszeni portmonetkę) Panie Evelyn, proszę o adres pańskiéj niańki?

Evelyn (pisze i podaję jéj) (na str.) Pomimo wszystkich słabostek ma ona jednak dobre serce. Ah! Miss Vesey, gdyby ta biedna kobieta nie była zamknęła oczu mojéj matce, Alfred Evelyn nie byłby żebrakiem proszącym o wsparcie pani ojca!

(Klara spogląda na adres)

Georgiana. Już ja się postaram zaradzić temu (na str.) jeśli dostanę zapis.

Sir John (woła). Georgiano! mam ci coś powiedzieć!

Georgiana. Idę, ojcze.

(wychodzi).

(Evelyn siada napowrót przy stole na prawo i opiera głowę na rękach).

Klara (do siebie). I to on, on w takiem położeniu! Ach, przynajmniéj w tym razie mogę mu przynieść ulgę. (siada chcąc pisać) Ale pozna moje pismo.

Lady Franklin. Jakiż to rachunek myślisz płacić, Klaro? Widzę że wyjmujesz pieniądze?

Klara. Pst! O! lady Franklin, jesteś najlepszą z ludzi. Pieniądze dobywam dla biednéj kobiety. Nie chciałabym żeby wiedziała z kąd ten dar pochodzi, bo mogłaby odrzucić. Czybyś pani... nie... ona i pani pismo...

Lady Franklin. Czybym ja? Co? Czybym dała pieniądze? Z największą chęcią! Biedna Klaro, ależ to pochłonęłoby wszystkie twoje oszczędności, a ja mam tyle!

Klara. O! nie, ja sama chcę to zrobić, to moja pociecha, obowiązek... radość wielka; a ja tak mało doświadczam radości! Ale cicho, pójdźmy tam.

(odchodzą do drugiego pokoju rozmawiając po cichu).

Evelyn. I tak muszę zmarnować całe życie! Jestem ambitny, a ubóstwo spycha mnie na dół. Mam naukę, ubostwo robi mnie niewolnikiem głupców! kocham... ubóstwo staje jak widmo pomiędzy mną a ukochaną. Ale nie, nie! jeśli jak przypuszczam, jestem kochany wzajem, wtedy... wtedy... cóż wtedy? zacznę może zażywać opium, i marzyć o raju do którego wejść mi nie wolno!

(wstaje).

Lady Franklin (do Klary wchodząc do pokoju). Tak, każę mojéj pannie służącéj przepisać to i zaadresować: pisze ona dobrze a jéj pismo nigdy nie zostanie poznanem. Każę to zrobić i wysłać natychmiast.

(Klara zbliża się na przód sceny i siada. Evelyn czyta. Wchodzi Sir Fryderyk Blount).

Scena III.

Klara, Evelyn, Sir Fryderyk Blount.

Blount. O miss Douglas! przepraszam, czy nie przeszkadzam pani czasem? Gdzie jest miss Vesey Ceorgiana?

(Klara podnosi się, Sir Fryderyk siada na jéj krześle).

Evelyn (spogląda na nich, podaje Klarze krzesło i siada na dawnem miejscu) (do siebie). Zuchwały szczeniak!

Klara. Czy mam jéj powiedzieć że pan tu jesteś, Sir Frederyku?

Blount. Za nic w świecie! (do siebie) Bardzo ładna dziewczyna ta towarzyszka!

Klara (do Evelyna). Jak się panu podobała panorama wczorajsza?

Evelyn (czyta). „Nie mogę mówić wśród zapachu piżma którem młodzieniec zapowietrza pokój“! Bardzo trafna uwaga.

Blount. Panie!

Evelyn (podając mu książkę). Czy się pan na to nie zgadzasz? Cooper tak pisze!

Blount (odsuwając książkę). Cooper!

Evelyn. Cooper.

Blount (ruszając ramionami, do Klary). Osobliwszy człowiek, pan Evelyn. Co za charakter! Rzeczywiście, panorama nie daje dobrego wyobrażenia o Neapolu: cudowne miejsce. Mam zwyczaj jeździć tam co rok, bardzo lubię podróżować. Pani podobałby się Rzym, hotele szkaradne, ale bardzo piękne ruiny; takie widoki budzą upodobanie do starożytności.

Evelyn (czyta). „O ileż głupiec który podróżował, przewyższa głupca który siedział w domu.

Blount (na str.). Ten Cooper mówi dziwne rzeczy! Hm! stoję za wysoko żeby to uznać za przymówkę. (głośno) Sądzę że przeczytanie testamentu nie zajmie dużo czasu. Biedny stary Mordaunt. Jestem jego najbliższym krewnym płci męzkiéj. Wielki to był oryginał! Ale, miss Douglas, czyś pani zwróciła uwagę na mój powozik? Takie chcę wprowadzić w modę. Byłbym bardzo szczęśliwy gdybym mógł powieźć nim kiedy panią. Tak, tak bardzo bym był rad, daję słowo.

(Chce wziąść rękę Klary).

Evelyn (wstając). Osa! osa! właśnie zamierza usiąść. Strzeż się osy miss Douglas.

Blount. Osa, gdzie? Napędź ją w tę stronę. Są tacy co się os nie boją, ale ja mam szczególną do nich odrazę.

Evelyn. Przepraszam, to była tylko mucha.

(Wchodzi lokaj).

Lokaj, Sir John pragnie pana widzieć, sir Fryderyku, i oczekuje w bibliotece.

(lokaj wychodzi).

Blount. Bardzo dobrze (na str.) Słowo honoru, śliczna dziewczyna. Co prawda, kocham się w Georganie, ale gdyby ta porzuciła dla mnie fantazye... (zamyśla się) nie widzę coby mi to mogło szkodzić! (do Klary) Au plasir!

(wychodzi).

(*d. c. n.*)

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg).

Pomimo różnych kłopotów zewnętrznych i sprawy wewnętrzne żywe budzą zajęcie. Myślą bardzo o zmianie niektórych praw które się już przeżyły i nie odpowiadają duchowi czasu. Wolność handlu, którą w swoim czasie uważano za największy postęp i chlubę tegoczesnéj polityki, znajduje coraz liczniejszych przeciwników, a lud nazywa ją „grubem oszukaństwem Brigth'a i Cobden'a“ jest téż do przewidzenia iż znacznie ograniczoną zostanie. Oto przykład na poparcie tych dążeń. Przed parą miesiącami zaszła potrzeba zmiany wszystkich zamków w ministerstwie wojny; otóż dostawcę ich zarzucono najdotkliwszymi zarzutami i ubliżającemi oskarżeniami, za to że dał pierwszeństwo zamkom amerykańskim nad anglelskiemi, z fabryk Willenhall, które dotąd uchodziły za najlepsze. W odparciu tych napaści dostawca odpowiedział: iż nietylko zamki amerykańskie były znacznie tańsze, ale daleko trwalsze. Zaniepokoiło to bardzo przemysłowców willenhallskich, i domagali się publicznie aby udowodnił swe dowodzenia. Próby wykazały że zamki angielskie są lepsze od amerykańskich które głównie zalecają się taniością. Pewien budowniczy angielski ogłosił nadto w gazetach: iż idąc za przykładem dostawcy ministerstwa wojny, zrobił umowę z pewną fabryką amerykańską o dostawę znacznéj ilości zamków do domu jaki budował, za cenę stosunkowo nadzwyczaj nizką. Dostawiono mu je w oznaczonym czasie. Uradowany taniem nabyciem, kazał zamki poprzybijać, i wtedy dopiero spostrzegł że brakuje do nich kluczy; będąc pewnym że jest to tylko skutek nieuwagi ekspedytorów, zatelegrafował o klucze, ale odpowiedziano mu że w kontrakcie jest tylko mowa o zamkach a nie o kluczach.

Parlament debatuje znowu nad prawem o domach obłąkanych. Zeznania poczynione przez mistres Weldon, któréj udało się uciec z jednego z tych domów do którego wtrącił ją mąż, wywołały liczne śledztwa, rozprawy i meetingi. Zmuszono biedaczkę do milczenia, wytoczeniem procesu o potwarz i oszczerstwo, w imieniu męża i przyjaciela jego który mu do tego pomagał. Jakby za danem hasłem, posypały się do dzienników oskarżenia niesłychanych nadużyć popełnianych w takich zakładach. Autor broszury o obchodzeniu się z obłąkanymi w jednym z tych zakładów, podpisujący się „A Sane Patient“ (Rozsądny waryat) podaje tak straszne, tak przerażające opisy zajść jakich był świadkiem podczas swego tam pobytu, iż cała Anglia zawrzała oburzeniem na samą myśl że podobne okropności dziać się mogą w jéj obrębie. „Rozsądny waryat“ oznajmia: iż pomimo że trzech najznakomitszych lekarzy oznajmiło, iż bynajmniéj nie jest dotknięty chorobą umysłową ale hipokondryą, będącą następstwem zbyt natężonéj pracy umysłowéj, jednakże dyrektor zakładu obłąkanych, do którego zawieziono go pod pozorem przejażdżki, przyjął go zaraz bez żadnych świadectw doktorskich, jedynie na mocy twierdzenia krewnych mających w tem interes aby go zamknąć jako waryata. Aby zapobiedz nadal podobnym nadużyciom, rząd zamierza znieść wszelkie prywatne domy obłąkanych, a w ich miejsce urządzić przy zakładach rządowych oddziały zostające pod bezpośrednim nadzorem władzy, utrzymywane przez odpowiedzialnych ludzi, w których bogaci będą mogli znajdować pomieszczenie i opiekę doktorów.

Przy Trafalgar square odbył się meeting „biednych bez zajęcia i zarobku“ którzy wnieśli nadzwyczaj śmiałe podanie do Parlamentu. Meetingu tego niepodobna lekceważyć, i wywarł téż przykre, niepokojące wrażenie na publiczności. Kluby radykalne różnych dzielnic Londynu, odebrały wezwanie aby się zebrały o godzinie ósméj wieczorem, około kolumny Nelsona, przy Trafalgar square, i w oznaczonym czasie nadciągnęły gromadkami, z chorągwiami na czele, ze wszystkich stron Londynu.

Milczenie i powaga z jaką postępowały te tłumy bez muzyki, bez krzyku, bez żadnego hasła, miały w sobie coś uroczystego. Niejaki Lerd, krawiec z profesyi, obrany przewodniczącym, przystąpił wprost do rzeczy domagając się pomocy dla biednych bez zarobku, aby nie byli zmuszeni poddawać się strasznéj niewoli domów przytułku (workhouses). Żądał aby rząd zarządził wielkie prace użytku publicznego, dla dostarczenia im roboty. Daléj postanowiono domagać się od rządu aby odebrał grunta i nieruchomości „skradzione“ biednym w różnych czasach, a których dochody, jak twierdził mówca, aż nadto byłyby wystarczające na zapewnienie ludowi dobrobytu i spokoju, i wydźwignięcie z okropnego położenia w jakie wtrącili go bogacze. Daremnie kusiłbym się o określenie wrażenia jakie mowa ta wywarła na obecnych. W Anglii, tłum zawsze jest milczący, ale tym razem stał osłupiały i niemy; meeting zakończył się wybraniem delegatów, mających żądanie to przedstawić parlamentowi w formie petycyi. Wszystko odbyło się spokojnie z zachowaniem legalnych praw i przepisów. Petycyą oddano dwóm członkom Parlamentu, którzy zobowiązali się przysięgą wiernie ją doręczyć, poczem liczne kluby zwinąwszy chorągwie, rozeszły się spokojnie i w porządku.

Wprawdzie podczas meetingu odezwały się tu i owdzie okrzyki socyalistowskie, ale akcent niemiecki zdradzał pochodzenie krzykaczy, i oburzone tłumy zmusiły ich do milczenia. Dotąd socyalizm nie zapuścił jeszcze korzeni w ludzie angielskim, lecz czy długo tak będzie, czy nie osołomią go nareszcie podobne mowy, jeźli ich często słuchać będzie?...

Jednak bezstronność przyznać karze iż mowa przewodniczącego meetingowi, nie była znów zupełnie wszelkiéj pozbawiona podstawy; jest w samym Londynie wiele zakładów których pierwotne przeznaczenie zupełnie zostało skrzywione, z krzywdą biednych, i dziś zupełnie nie odpowiadają swemu założeniu. Do takich, między innemi, należy szkoła Christ-Church, licząca 600 uczni. Założona dla dzieci biednych rodziców, nie będących w stanie płacić za ich naukę, według swego statutu powinna była obejmować równą liczbę chłopców i dziewcząt. Otóż z upływem lat, szkoła ta nagromadziła znaczne bardzo bogactwa, i tak oficerowie marynarki jak urzędnicy wyżsi, widząc jak zbytkownie utrzymani są wychowańcy i jak świetną pobierają edukacyę, współubiegają się o pomieszczenie w niéj swoich synów. Tak więc szkoła założona dla biednych zagarniętą została przez bogaczy. Ale to

nie dość: jak już powiedziałem: statuta obowiązują aby jednakowa liczba dziewcząt zupełnie odpowiednie pobierała nauki; otóż administracya utrzymnje w zakładzie tylko dwadzieścia pięć dziewcząt, które uczą tylko prostych zajęć domowych i gospodarskich a których praca w zakładzie sowicie opłaca ich żywność i nader skromne utrzymanie. Obecnie liczne podnoszą się głosy o sprzedanie placów i posiadłości należących do szkoły Christ-Church, aby za otrzymany fundusz pobudować podobne zakłady za miastem, w którychby daleko większa liczba tak chłopców jak dziewcząt pobierać mogła wychowanie, oraz o wytoczenie procesu administracyi, za nadużycia i pogwałcenie statutu. A ileż to podobnych przykładów przytoczyćby można.

(d. c. n).

LISTY Z MADRYTU.

(dokończenie)

Jakkolwiek obecnie obowiązujące prawa prasowe nie dozwalają stronnictwu republikańskiemu rozwijać swojéj chorągwi, posiada ono mimo to kilka swoich dzienników, jak *el Globe*, *el Pueblo espanol* (lud hiszpański) redagowany przez p. Garcia Ruiz, ministra spraw wewnętrznych z 3 stycznia 1874; *la Nueva Prensa* (Nowa prasa) *la Gaceta de Barcelona*, etc. etc. Dzienniki te są w ogóle dobrze redagowane i stawiają racyonalną opozycyę ze stanowiska swych idei.

Oprócz wyż wymienionych, zasługują jeszcze na wzmiankę dwa pisma peryodyczne bardzo rozpowszechnione i posiadające największą liczbę czytelników, *la Correspondencia de Espana* i *el Imparcial* (Bezstronny).

Correspodencia zawdzięcza wielką i dawną swoją popularność temu najwięcéj że głównie zajmuje się wszelkiemi wiadomościami i nowinami; jeźli polityka wciśnie się, to także jako nowina. W ciągu długiego swego żywota, pismo to stoczyło jedną tylko kampanię polityczną, podczas rewolucyi z 1868 r. popierając kandydaturę księcia Montpensier.

El Imparcial był od powstania swego i jest dotąd pismem politycznem. Bronił i broni zawsze zasad liberalnych, ale nie wywiesza sztandaru żadnego stronnictwa i podaje artykuły doskonale opracowane a co poniedziałek dodatek czysto literacki, bardzo zajmujący.

Widzimy tedy że dziennikarstwo hiszpańskie jest bardzo rozwinięte i przedstawiane przez zdolnych pisarzy i polityków, przejdźmy teraz do innych gałęzi piśmiennictwa.

Romanse i powieści które dość długo odznaczały się nie jakością ale ilością, z powodu że wielu nie powołanych wzięło się do ich pisania, wprost dla zarobienia na kawałek chleba; od pewnego czasu znalazły godniejszych przedstawicieli, którzy potrafili zjednać sobie uznanie czytelników.

Obecnie najpopularniejszym powieściopisarzem hiszpańskim jest Fernandez Gonzalez. Jego powieści zalecają się oryginalnością pomysłu, zręcznie przeprowadzoną intrygą, doskonale odtworzonymi typami i pięknym, obrazowym stylem.

Żaden ze współczesnych nie dorównywa mu pod względem płodności pomysłów, ale za to pod względem wiernego przedstawienia obyczaj i uczuć, analizy namiętności i rozwoju charakterów, przewyższają go niektórzy młodsi pisarze. Do takich należy Juan Valera, pisarz wielkiéj nauki, pełen przytem werwy i humoru. Czy to jako akademik czy jako polityk, czy jako dziennikarz, czy w poezyach czy w szkicach naukowych, zawsze odznacza się wielkim talentem.

Przedstawicielem romansu historycznego, jest zdolny bardzo powieściopisarz i dziennikarz zarazem, pan Perez Galdos. Obecnie wydaje szereg powieści z dziejów hiszpańskich od początku XIX-go stulecia, a obrazy jego zalecają się prawdą szczegółów i głęboką znajomością téj krytycznéj epoki społecznéj i politycznéj.

Co do poezyi, ta zdaje się być właściwością Hiszpanów. Napotyka się ją u nich wszędzie, w historyi, w charakterze, w tradycyach, w języku, w pomnikach, w legendach. To też na tem polu mają się czem poszczycić.

Znany śpiewak kataloński Balaguer, jest bardzo popularny, nietylko w swéj ojczyźnie ale i w południowéj Francyi. Nie ma prawie Prowensalczyka któryby nie umiał na pamięć kilku piosenek tego średniowiecznego trubadura, zabłąkanego wśród XIX wieku. Utwory jego odznaczają się niewysłowioną prostotą i słodyczą, jego zaś *Historya Katalonii i Aragonii* stawia go w rzędzie dobrych historyków.

Ale odrodzenie literatury hiszpańskiéj ujawnia się szczególniéj w dziale dramatycznym. Pisarze sceniczni zrywając stanowczo ze staremi zasadami klasycznej szkoły i wyzwalając się z więzów naśladownictwa, które sprowadziło upadek sceny, sięgnęli aż do XVII-go wieku, starając się zespolić scenę tegoczesną ze sławnemi nazwiskami takich pisarzy jak Lope de Vega, Calderon i Cervantes.

Manuel Breton de los Herreros, zmarły w 1873 roku, pozostawił po sobie przeszło sto pięćdziesiąt komedyi i dramatów, odzwierciadlających z dziwną prostotą obyczaje mieszczańskie.

Przed niedawnym czasem pojawił się nowy poeta, Echegaray, będący zarazem znakomitym inżynierem dróg i mostów, autorem kilku dzieł z dziedziny matematyki i fizyki, profesorem szkoły ekonomicznéj, deputowanym, ministrem prac publicznych, a następnie skarbu, a na każdem z zajmowanych stanowisk umiał się odznaczyć znakomitemi zdolnościami. Ktoby pomyślał że mąż tak poważny zapragnie oklasków teatralnych? A jednak i na tem polu okazał talent pierwszorzędny. W przeciągu lat dwóch przedstawiono na scenie trzy jego dramata i jedną komedyą, najpierw pod przybranem a w końcu pod własnem jego nazwiskiem.

Prawdą jest niezaprzeczoną iż od lat kilku Hiszpania postąpiła niezmiernie na drodze rozwoju umysłowego. Oprócz członków Akademii, dziejopisarzy i uczonych, stanowiących chlubę swego kraju, powstały liczne stowarzyszenia literackie a w których zajmują się wszelkiemi gałęziami wiedzy ludzkiéj, a ich rozprawy i prace zbiorowe przyczyniają się nadzwyczajnie do krzewienia światła we wszystkich warstwach społecznych. Liczne uniwersytety, Atenea, Kółka naukowe, przyczyniają się do kształcenia młodzieży na którą ojczyzna liczyć może.

W dziedzinie ekonomiki, która to gałąź wiedzy, do czasu ostatniéj rewolucyi leżała zupełnie odłogiem, pojawili się bardzo zdolni pisarze. Jako przedstawiciele filozofii wystąpiło dotąd kilkunastu. Wszystkie tegoczesne systemy znajdują przedstawicieli w téj świetnéj plejadzie, najwięcéj jednak zwolenników ma szkoła Krauze'go, na zanadto może potępiona przez konserwatystów, czyniących odpowiedzialnym system czysto filozoficzny, za błędy kilku osób uważanych za Krauzistów.

Ciasne ramy listu nie dozwalają rozpisywać się więcéj szczegółowo o każdéj gałęzi tegoczesnego piśmiennictwa hiszpańskiego, ale i krótki ten szkic dozwala wnosić o znakomitym jego rozwoju w ostatnich kilku latach.

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum. Rok 1879. Kwartał I. (Zeszyty 1—3).

W zeszycie styczniowym Biblioteki sporo miejsca poświęcono kwestyi Szczerbca Bolesławowego, z powodu że, jak wiadomo, pan Bazylewski wystawił w Paryżu miecz, któremu nadał owo historyczne miano. P. Smolikowski w Bibliotece opisał bardzo starannie ów miecz z wystawy i dołączył wykonane przez siebie rysunki, a p. Kajetan Kraszewski opis skarbca koronnego z r. 1739, kiedy Szczerbiec Bolesławowy, używany do koronacyi królów, znajdował się jeszcze w skarbcu; był on tam jeszcze wraz z innemi klejnotami koronnemi w r. 1792 podczas ostatniéj rewizyi skarbca, dopełnionéj przez znanego Czackiego i wreszcie w 1795 r. został zabrany przez prusaków wraz z koronami, berłami i resztą nietylko skarbca, ale nawet kosztowniejszych sprzętów zamku krakowskiego. Wiadomość o tem złupieniu skarbca wziętą jest z pamiętników Kratzera, kantora katedry krakowskiéj, znanych dawniéj Łepkowskiemu i Siemieńskiemu i teraz właśnie, w redakcyi Siemieńskiego, ogłoszonych w Bibliotece, w zeszytach za luty i kwiecień. Ztąd i opowiadanie o rabunku znajdujemy dwukrotnie: w artykule p. Kraszewskiego (styczeń str. 9—10) i w pamiętnikach Kratzera (kwiecień str. 47—48). Opowiadanie to wielce zajmujące i charakterystyczne, powtórzone przez niektóre pisma (np. Kłosy) w skróceniu i w głównych zarysach, jest następujące.

,,Stali Prusacy w Krakowie i w okolicy, aż do czasu gdy się ostatni podział zdecydował (1795). Niejaki Zubrzycki był wtedy magazynierem w zamku krakowskim. Gdy widział, że mu bieda zagraża, udaje się do Ludwika Antoniego von Heym, pełnomocnego komisarza króla pruskiego w Krakowie, oświadczając, że jeśli mu wyjedna urząd dostatni, to wskaże gdzie skarbiec koronny jest ukryty. Stało się zadość życzeniu, bo Zubrzycki dostał nominacyą na komisarza porządku w Częstochowie, z pensyą roczną 180 talarów i mieszkaniem. Dopełnia tedy Zubrzycki obietnicy, ostrzegając, że trzeba biegłego ślusarza do otwarcia zamku, a dla uniknienia w mieście tumultu, lepiéj majstra takiego zkądinąd sprowadzić. Posłano więc do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego; tymczasem nadchodzi wiadomość, że wojska austryackie mają zająć województwa krakowskie, sandomierskie i lubelskie. Trzeba się było śpieszyć. Przybywa wreszcie ów ślusarz z Wrocławia; więc Hoym, sekretarz jego Lang, generał von Rüts i inni wojskowi udają się do wskazanych przez Zubrzyckiego drzwi. Usiłowania ślusarza były bezskuteczne. Generał radzi zatoczyć armatę, ale murgrabia Kowalski przekłada, że od wystrzału zawali się sklepienie. Wreszcie ślusarz krakowski, Franciszek Weis, poradził wybić spodni węgar, tak aby się człowiek przecisnął i rygle zwnętrza zasunięte otworzył. Tak też zrobili i weszli do sklepu. Wzięto zamknięte i zapieczętowane puzdro i to karetą gubernatora do mieszkania jego odwieziono. W komnatach królewskich na zamku także podzielono się sprzętami. Pozwolono brać oficerom, a nawet i żołnierzom. Gdy zabrano sprzęty, lustra, obicia, opony, stoły i stołki, wyjmo-

wano nawet okna i posadzki, odrywając zamki, zabierając wreszcie drzwi w fasony cięte. Gdy 5 stycznia 1796 r. Austryacy weszli do Krakowa, gubernator pruski, oddając im miasto, zapewnił że oddaje wszystko nietknięte...“

Przytoczony daléj wyjątek z pamiętników Łubieńskiego (drukowanych przed laty w Kronice Rodzinnéj, a następnie w osobnéj odbitce wydanych) świadczy że Feliks Łubieński, posłując w r. 1797 do króla pruskiego, z niezmiernem pomieszaniem dostrzegł w naszyjniku i w dyademie królowéj pruskiéj, klejnoty, które widział niegdyś w skarbcu krakowskim. Gdy nie mógł ukryć pomieszania, królowa usilnie nalegała, ażeby wyjawił jego powód; dowiedziawszy się zaś prawdy, odesłała klejnoty do skarbca i odtąd już ich nigdy nie używała.

Tak więc nie ulega, jak się zdaje, wątpliwości, że klejnoty koronne dawnych królów, w téj liczbie korona Ottona Bolesławowi Chrobremu podarowana, berła, jabłka, łańcuchy i t. d. znajdują się po dziś dzień w Berlinie.

Istniało wprawdzie w Krakowie podanie, jakoby przed najściem Prusaków ocalono potajemnie klejnoty koronne, ale tradycya to wątpliwa, w obec świadectwa Kratzera, który sam był świadkiem naocznym grabieży pruskiéj. Prusacy musieli téż zabrać i miecze, które w skrzyniach leżały, a w téj liczbie i szczerbiec: tych prawdopodobnie do skarbca berlińskiego nie oddali, ale zatrzymali sobie na pamiątkę. Możliwą więc byłoby rzeczą, że miecz Chrobrego na bramie Kijowa wyszczerbiony i ztąd Szczerbcem zwany, przechowuje się dotąd w jakiéj rodzinie pruskiéj, albo może nawet przeszedł w ręce jakiego antykwaryusza lub handlarza.

Co do miecza Bazylewskiego, ani p. Kajetan Kraszewski ani p. Smolikowski nie rozstrzygają stanowczo kwestyi, czy jest to Szczerbiec Bolesławowy, czy tylko jego kopia. Zdaje się wszelako, że kwestyę wypada rozstrzygnąć przecząco, gdyż nietylko że mniemany ów Szczerbiec żadnéj szczerby nie posiada (nietylko na ostrzu, ale nawet na klindze, gdy przypuścimy, co jest bardzo prawdopodobnem, że król uderzył w bramę płazem, nie ostrzem), ale podług ostatnich wiadomości, podanych przez p. Duchińską i J. I. Kraszewskiego, sam Bazylewski zapytany stanowczo oświadczył, że miecz jego nie jest Szczerbcem Bolesławowym, ale pochodzi z wojen krzyżowych.

Ponieważ wspomniałem już o pamiętnikach Kratzera, należy się więc im bliższa wzmianka. Koniec ich mieści się w zeszycie kwietniowym, który do niniejszego sprawozdania jeszcze nie należy; początek zaś znajduje się w zeszycie lutowym.

Niedługi przeciąg czasu, bo zaledwie lat dwadzieścia kilka (do roku 1795) obejmują te pamiętniki i nieszerokiéj widowni poświęcone bo wyłącznie zajmują się Krakowem, a nawet przeważnie zamkiem i katedrą krakowską, w któréj autor długie lata spędził, jako kantor. Celują niekunsztowną prostotą i bezstronną szczerością; historyk i badacz znajdzie tu kilka szczegółów nowych. Wstęp p. t. O muzyce w Krakowie ważnym i zajmującym będzie dla miłośników i historyków muzyki świeckiéj i kościelnéj. O sprawach świeckich staruszek pisze skrzętnie, w tym celu, ażeby pozostawić opis wypadków, na które patrzał.

Tak następny rozdział p. t. „O ubieżeniu zamku krakowskiego i o Korytowskim“ zawiera opowieść, mało w szczegółach znaną, o podstępnem zdobyciu zamku przez stronników Barskich Korytowskiego i kilku francuzów, przebranych za księży w 1772 r. Osobliwszą jest rzeczą, że ani w pamiętniku, ani w jego nagłówku, ani we wstępie Siemieńskiego, autor nie nazwany Kratzerem, ale zawsze tylko „kantorem:“ tylko z przytoczonego powyżéj wyjątku z artykułu Łepkowskiego w Encyklopedyi, dowiadujemy się o nazwisku kantora.

Dalszy ciąg wspomnień sędziwego gawędziarza Wójcickiego p. n. „Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (1800—1830) mieści się w zeszytach styczniowym i marcowym. Autor wiele pamięta, dużo widział, znał wszystkie niemal zgasłe znakomitości nasze z owego okresu; umie nadto opowiadać z ciepłem serdecznem, z zamiłowaniem tego, co na przywiązanie zasługuje i z pewnym odcieniem rzewnéj tęsknoty.

Szczególniéj ciekawe są szczegóły o ruchu piśmienniczym i umysłowym owych czasów i o wybitniejszych osobistościach. Szczegóły tem ponętniejsze, że opowiedziane nie sucho i że tak powiemy urzędowo, jak w historyach literatury, ale popularnie, niejako poufnie, jakby nie przez literata ale przez człowieka prywatnego, który zna rzecz i ludzi ze strony najbliższéj, poufale i wszechstronnie. Oto np. ważne i ciekawe są szczegóły o „Listach“ dodawanych w r. 1807 co tydzień do Gazety Warszawskiéj, poświęconych kwestyom żywotnym i bieżącym, o dwukrotnie wznawianym Pamiętniku Warszawskim, wiadomości literackie i osobiste o Kantorberym Tymowskim, J. D. Minasowiczu, Brunonie Kicińskim i innych.

Mniéj potrzebne jest przytoczenie recenzyi Jagiellonidy Tomaszewskiego przez Mickiewicza i polemikę tegoż z Dmochowskim w rozprawie „O krytykach i recenzentach warszawskich.“ Gdyż przedmiot to zbyt znany i obie recenzye znajdują się, jak wiadomo, w wydaniu pism Mickiewicza. Przytoczony wiersz Minasowicza p. t. „Człowiek,“ w owych czasach głośny, a dziś prawie nieznany, jeszcze i teraz może uchodzić za utwór znakomity. Charakterystyczną jest także wiadomość o jenerale Mrozińskim, świadcząca, jak w owych czasach ludzie dbali o umiejętność poprawnego pisania, jak ludzie nawet poważni nie wstydzili się uczyć, ażeby uzupełnić braki i do jakich rezultatów prowadziła ta nauka. Oto jenerał Józef Mroziński napisał artykuł p. t. „Oblężenie i obrona Saragosy“ i przyniósł go Bentkowskiemu, redaktorowi Pamiętnika Warszawskiego. Bentkowski, po przeczytaniu, zwrócił autorowi rękopism, dla niegodziwego języka i, chwaląc przedmiot, radził Mrozińskiemu, ażeby popracował nad mową ojczystą, poprawił artykuł i przyniósł go znowu, ale napisany *po polsku*. Jenerał nietylko że nie obraził się tą ostrą, lecz słuszną uwagą, ale poszedł w zupełności za radą Bentkowskiego: wziął się do nauki języka polskiego, a owocem téj pracy było nietylko że w roku następnym „Oblężenie Saragosy“ ukazało się w Pamiętniku, napisane wzorową polszczyzną, ale nadto i „Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego“ przez Mrozińskiego ułożone, dzieło, które dało autorowi zaszczytne miejsce pomiędzy badaczami języka, bo nawet było zapowiedzią najnowszych podstaw gramatyki (fonetycznych). Jak to dziś jest inaczéj niż przed 60 i 70 laty! Obecnie piszący i drukujący artykuły niezawsze potrzebują umiéć po polsku; teraz i redaktorowie nie są tak wymagający, jak Bentkowski, a uchowaj Boże, żeby jakiemu młodzieńcowi uczynić podobnie ostrą uwagę jak Jenerałowi Mrozińskiemu! Co najmniéj, taka uwaga nie zachęciłaby pewno do uzupełnienia zaniedbanéj nauki. Nakoniec ciekawe są jeszcze szczegóły o humorystyce i feljetonach w prasie warszawskiéj przed 1820 r. o Świstku i jego autorze Stanisławie Potockim, o Tygodniku Polskim i utworach poetyckich owéj epoki.

(*d. c. n.*

Opis Ryciny Kolorowéj.

1. Ubranie małéj dziewczynki. Spódniczka fałdowana i kaftaniczek z boku zapinany; batystowe plisowanie i kolorowo haftowane szlaczki stanowią przyozdobienie.

2. Suknia z vêtement z satynki mille fleurs. Spódnica nie sięgająca do ziemi, oszyta szeroką plisowaną falbaną i bufą w płaskie kontrafałdy, nad którą przerzucona draperya przemarszczana. Vêtement krótko á panier podpięte, zakończone jest drobno zaplisowaną szeroką koronką bretońską. Na szyi chusteczka z indyjskiego muślinu, oszyta koronką. Kapelusz biały słomkowy ubrany girlandą kwiatów i blado-żółtą wstążką serge, z któréj z przodu upięta suta kokarda, a dwa końce przeprowadzone pod gierlandą związane są z tyłu poniżéj rondka. Parasolik formą marquise, pokryty tą co suknia materyą.

3. Suknia z bluzkowym stanikiem i tuniką. Na sukni z blado-niebieskiéj satynki ułożona biała suknia z indyjskiego muślinu. Zakończenie tuniki z przodu, kołnierz i falbany przy rękawach, dane z gazy jedwabnéj haftowanéj kolorowo; kokardy z wstążki atłasowéj podwójnéj. Tunika ma przód i boki przemarszczane a tylny bryt podpięty w fałdy. Kapelusz biały bastowy z rondkiem podszytém aksamitem, zdobny blado niebieską gazą i piórami.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 21 Іюля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— I sądziłaś że przyśpieszysz mój powrót, stojąc na tarasie w sukni balowéj, w noc tak chłodną, rzekł Gordon tonem wymówki, ale jednocześnie przesunął pieszczotliwie rękę po jéj czarnych włosach. Tak, spóźniliśmy się o dwie godziny, podobno szyna wyskoczyła gdzieś ze swego miejsca, czy coś podobnego. Zasnąłem i dowiedziałem się o tem wtenczas dopiero kiedyśmy już ruszyli w dalszą drogę. Jak widzę tańce idą tam żwawo. Jakaż to nieprzyjemność dla mnie, ubierać się i prezentować temu całemu tłumowi.

— Wolałbyś zapewnie spotkać się z całym oddziałem cypajów; ale człowiek odważny nie ustępuje nigdy z placu, choćby mu największe groziło nie bezpieczeństwo. Zechcesz zapewnie udać się zaraz do swego pokoju. Do tego najmilszego teraz dla mnie pokoju, w którym malowałeś mój portret.

— I w którym nieszczęśliwy pozbawiony wszelkiéj nadziei malarz, znalazł szczęście.

— Przygotowano go dla ciebie, mówiła daléj. Udaj się tam nie zwlekając, zmień ubranie i pokaż się wszystkim.

— Czy tam jest bardzo liczne towarzystwo? zapytał z pewnym niepokojem.

— Najmniéj trzysta osób. A że napatrzono się już do woli na pannę Higgins, staniesz się przedmiotem ogólnéj uwagi; wszystkie oczy będą na ciebie zwrócone.

Słysząc to skrzywił się, a Fanny się roześmiała, i wprowadziła go do domu.

— Jak się ma babunia? zapytała. Co mówiła? Jak cię powitała? Opowiedz mi wszystko.

— Wszystko! Mówią o pracach Herkulesa, lecz powtórzenie ci wszystkiego co babunia mówiła przez te sześć tygodni, przewyższyłoby je z pewnością. Ale między wielu innemi rzeczami powiedziała abyś do niéj przyjechała za tydzień a najdaléj za dwa tygodnie.

— Jakto!... z tobą?

— O! nie, nie pomiatajmy do tego stopnia konwenansami. Ma się rozumieć że pod opieką lady Dynely. Nie odmówi ci tego zapewnie.

— Czy i ty pojedziesz, Gordonie?

— Ma się rozumieć! już się nie rozłączymy. Biedna moja matka. Jakto miło być tak kochanym jak ona mnie kocha!

— Czy poznała cię od razu?

— Zaraz od pierwszego spojrzenia. Zadziwiająca kobieta! Nie zemdlała, nie krzyknęła nawet, tylko przystąpiła do mnie prędko i przycisnęła do serca, a potem najmniéj przez pół godziny nie przemówiliśmy jednego słowa. Na pozór lata mniéj ją zmieniły jak mnie, ale jest bardzo osłabiona, i dla tego nawet nie mogła, pomimo najszczerszéj chęci, przyjechać tu ze mną, a jednak bardzo pragnie cię widzieć, prosiła abyś przyjechała pod opieką lady Dynely, gdy do niéj wracać będę. Czy chcesz pojechać do niéj Fanny?

— Jakże mogłabym jéj odmówić? Odpowiedziała zwracając na niego błyszczące szczęściem oczy. Tylko że nie będę mogła długo zabawić; ślub Eryka ma się odbyć w dzień nowego roku, a ja mam być pierwszą druchną.

— Będziesz więc druchną już ostatni raz w życiu. Jaka to szkoda że nie wyprawiamy podwójnego wesela. Co do mnie, nie rozumiem dla czego mamy czekać, zezwoliłem na to nie wiedząc że na tak długą narażam się zwłokę. Kiedyż nadejdzie ten dzień szczęśliwy, droga Fanny? Czy w styczniu?

— Nie mój panie, nie w styczniu, ani też w lutym, ani nawet w kwietniu; dopiero w maju, skoro ziemia przystroi się znów w wiosenne barwy. Wtenczas, jeżeli już tak koniecznie będziesz za tem obstawał, udamy się do kościoła i unieszczęśliwisz się na całe życie. Nie, nie! na nic się nie zdadzą te błagające spojrzenia. Skoro już raz wydam wyrok nic mnie nie zdoła skłonić abym go zmieniła. Proszę teraz iść do swego pokoju i za chwilkę przyjść do salonu; już i tak spóźniłeś się bardzo, mój panie.

Wysunęła rękę z jego dłoni i pośpieszyła do salonu. Zaraz przy drzwiach spotkała Eryka, który odgadł natychmiast powody radości malującéj się na jéj twarzy.

„Aha! artysta bohater przybył nareszcie, i oczy panny Forrester błyszczą jak dyamenty, i lica panny Forrester pokrywają się żywym rumieńcem. Już straciłem prawie nadzieję zobaczenia go dziś, ale lepiéj późno jak nigdy.

Nim upłynęło pół godziny Gordon Caryll wszedł tak spokojnie do przepełnionego świetnym tłumem salonu, że z początku nie domyślano się jego obecności. Zbliżył się najprzód do lady Dynely, która pomimo że widywała go co dzień, z wyjątkiem siedmiu ostatnich tygodni które przepędził w Rzymie, wita go tak jak gdyby spotkali się po raz pierwszy od owego pożegnania nad jeziorem.

„Doprawdy, z początku trudno mi było uwierzyć temu że do nas wróciłeś. Byłam pewna że już nie żyjesz, pomimo iż Fanny nie traciła nigdy nadziei. I ziściły się jéj życzenia, jesteś znów z nami; tylko zmieniłeś się bardzo.

— Tak, niestety! odpowiedział Caryll, szesnaście lat spędzonych w marszach, obozach i bitwach, muszą zmienić każdego. Zdaje mi się jednak że poznawałaś mnie kiedy skotkaliśmy się w Akademii Królewskiéj.

— Prawdę mówiąc sama nie umiałam sobie zdać sprawy z wrażenia jakie zrobiłeś wówczas na mnie, odpowiedziała lady Dynely, chodząc po salonie wsparta na jego ramieniu; głos był ten sam, oczy także, ale tak już przywykłam do téj myśli że cię nigdy nie zobaczę iż uważałam to tylko za przypadkowe podobieństwo. Jednak tak ono pociągało mnie ku tobie, że gorąco pragnęłam abyś tu zaraz przybył z nami.

— Tak zrządziło przeznaczenie, odpowiedział śmiejąc się. Gdybym tu nie przyjechał nie miałbym sposobności porozumienia się z Fanny, i kiedyś złożonoby mnie do grobu jako Gordona Locksley.

— Będziesz szczęśliwym połączywszy się z Fanny, bo jest równie dobrą i szlachetną jak piękną, winszuję ci też szczerze. Co do ciebie nie traciłeś czasu! sam sobie wyrobiłeś stanowisko szablą i pendzlem, i potrafiłeś zyskać serce Fanny, serce zacne i pełne prawości. Miałam nadzieję że zostanie żoną Eryka, ale nie spełniły się moje życzenia.

— Szczęściem dla mnie... a spodziewam się że i dla niego także. Czy to ta mała wieszczka zielona i biała, z twarzyczką przypominającą kwiat jabłoni, którą Eryk prowadzi pod rękę, jest jego narzeczoną? Byłby to śliczny model na Ondynę. Zechciéj przedstawić mnie, Łucyo, swéj przyszłéj synowéj.

Caryll został przedstawionym i korzystając z tego zamówił Izę do tańca. Jak to przepowiedziała Fanny, każdy przyglądał mu się ciekawie o ile tylko pozwala na to dobre wychowanie. Bohater i bohaterka dnia tego tańczący z sobą, ściągają na siebie oczy wszystkich. Fanny tańczyła ze swoim wybranym, z Erykiem z Terrym, którego wyrwała ze szponów jakiejś starej panny z tak mocno wystającemi łopatkami iż można się było obawiać że kości ich przebiją skórę a na koniec z księciem Venturini. Poskończonem tańcu, Caryll zbliżył się i podał rękę swéj przyszłej, a neapolitański książe przypomniał mu się i zaczął rozmowę.

„Felicya ubolewa nieskończenie, że obecnie, przy tak szczęśliwéj dla pana zmianie okoliczności, może nie zechcesz pan wykonać przyrzeczonego jéj *pendant* do „*Zmroku*.“

— Czy to przyrzekłem? rzekł z roztargnieniem, jeżli tak, pani Felicya może być spokojna; skoro tak tego pragnie zrobię żądany *pendant*. Jakże go nazwiemy? może *Jutrzenka*?

I spojrzał na Fanny, a to spojrzenie i uśmiech mówiło jéj wyraźnie, iż z nią i przez nią zajaśniała mu jutrzenka.

Prześliczna nazwa! zawołał książe Venturini. Czy mogę zapytać pana czy znasz Felicyę?

— Nie znam zupełnie. Wiem że występowała w Londynie podczas ostatniego sezonu i naturalnie słyszałem o niéj, nigdy jednak nie przyszła mi ochota pójść widzieć ją na scenie. Byłem wtedy bardzo zajęty, a prócz tego od dawna już straciłem upodobanie do przedstawień teatralnych.

Gdy to mówił twarz jego się zasępiła; Venturini wlepił w niego swe przenikliwe oczy.

— Daruj pan, ale z tego co mówiła Felicya koniecznie wnosić muszę że zna pana dobrze.

— Nie, książę, to nie podobna; o ile wiem przynajmniéj, nigdy w życiu nie spotkaliśmy się z sobą.

— W takim razie omyliłem się; wiem jak bardzo się ucieszy gdy jéj powiem że będzie mieć żądany obraz.

Skłonił się i odszedł, a Caryll podał rękę Fanny i poprowadził ją do sali jadalnéj. Dość długo siedzieli przy wieczerzy, a gdy wrócili do salonu, otoczyła pannę Forrester gromadka wielbicieli jéj talentu, prosząc aby raczyła co zaśpiewać.

Zgodziła się na ich prośbę i Caryll zaprowadził ją do fortepianu.

— Zaśpiewaj pani „Ay Chiquita“ odezwał się ktoś.

Wskazała ręką na stos nut i Caryll wyszukał

w nim żądanego romansu; położył go na pulpicie a Fanny zaczęła grać przegrywkę. Caryll układał rozrucone nuty, aż nagle pochwycił jedne i zaczął wpatrywać się w okładkę jakby w jakieś widziadło, z tak żywem wzruszeniem i pomieszaniem, iż silnie odbiły się one w jego twarzy. Zbladł okropnie. Dźwięczny, piękny śpiew panny Forrester rozlega się w sali, on nic nie słyszy, nic nie wie co się w koło niego dzieje. Wszystkie władze jego ześrodkowały się w spojrzeniu utkwionem w zeszyt nut jakie trzymał w ręku.

Byłto walc p. n. *Walc Felicyi* ułożony przez księcia Venturini i ofiarowany pani Felicyi. Po nad tytułem wyrysowana była vinieta a w niéj popiersie pani Felicyi. Śliczna była ta powabna i uśmiechnięta twarzyczka, tak piękna że nawet nędzna litografia zeszpecić jéj nie zdołała. Oczy i usta śmiały się do widzów. Caryll tak głęboko i długo w nią się zapatrzył, iż nie słyszał nawet że Fanny śpiewać przestała. Szmer zadowolnienia i pochwał rozległ się w grupie otaczającéj fortepian, ale śpiewaczka czekała jego tylko uznania, o to jedno jéj chodzi.... On jednak stoi ciągle jak skamieniały, z oczami utkwionemi w nuty; nie przemówił ani słówka.

„Cóż tam znalazłeś, panie Caryll, co tak pochłonęło całą twoją uwagę? zapytała wesoło.

— Pan Caryll zaszczyca moją kompozycyę tak bacznem w niéj się rozpatrywaniem, a co prawdopodobniéj zachwyciła go tak piękność Felicyi, rzekł książe Venturini.

Głosy rozmawiających zwróciły nareszcie uwagę Caryll'a; położył nuty i zwrócił się do Fanny, ale twarz jego zawsze jest równie blada.

„Książe ma słuszność że to bardzo piękna twarz, którą koniecznie gdzieś widziałem, pomimo że nazwisko osoby zupełnie mi nieznane. Musiałem widywać ją w Ameryce lub w Kanadzie. Czy pani Felicya była tam kiedy?

Oczekiwał odpowiedzi z najżywszym niepokojem, który jednak ukrywał doskonale pod pozorną obojętnością. Książe zwraca na niego podejrzliwe spojrzenie.

„Nie, panie; Felicya nie była nigdy w Ameryce.

— Czy książe jest tego pewnym?

— Najpewniejszym. Słyszałem to od niéj saméj. Ma jakiś dziwny wstręt do wszystkich miejscowości leżących za Atlantykiem.

— W takim razie omyliłem się, rzekł Caryll spokojnie. Zdawało mi się że widziałem już twarz przedstawioną na téj okładce, ale widać że to tylko jedno z tych przypadkowych podobieństw jakie się nieraz zdarzają. Znałem dawniej osobę bardzo do tego podobną.

Podał rękę Fanny i wyszli do drugiego salonu. Nie mówiono już więcéj o tym przedmiocie, ale czoło jego zachmurzyło się, a twarz stała się poważniejszą jeszcze jak zwykle. Po niejakim czasie, kiedy znów rozpoczęły się tańce i wszyscy przeszli do sali balowéj, zbliżył się do fortepianu, zdarł okładkę z portretem Felicyi i schował ją do kieszeni, aby późniéj przypatrzéć się jéj lepiéj.

Dzień już zaczynał świtać kiedy ostatni powóz wyjeżdżał z bramy Opactwa Dynely, a mieszkańcy jego udali się na spoczynek do swych pokojów. W godzinę późniéj Gordon Caryll, patrzył jeszcze na leżący przed nim portret aktorki z takiém natężeniem jak gdyby urok na niego rzuciła.

„Też same oczy, tenże sam uśmiech i też same rysy, rzekł do siebie. Czy mogą istniéć dwie istoty tak do siebie podobne? Tylko starsza o kilka lat, ale zresztą taż sama. Czy miała siostrę, czy też jak upiór wyszła z grobu, lub też wróciła z piekła aby mnie prześladować do ostatniéj życia chwili?

Rozdział XIX.

Jak się skończył rok stary.

W ostatni dzień grudnia, bawiono się ochoczo w rzęsisto oświeconym i zapełnionym gośćmi domu wikarego w Starling. Wesoło przechodzą ostatnie godziny roku, a nazajutrz ma być ślub Izy.

Lord Dynely, matka jego Fanny i Terry, przybyli już od dwóch dni, a tego wieczora zaproszono tylu przyjaciół i znajomych, aby wspólnie i radośnie powitać rok nowy, że zaledwie mogą się pomieścić w starym, wygodnym i obszernym domu.

Tylko Gordona Caryll nie ma; bawi znów w Rzymie, przy matce. Nie mogłaby jeszcze znieść trudów podróży ani też ostréj zimy angielskiéj, a że z wiekiem staje się coraz więcej wymagającą ani słyszéć nie chciała aby syn którego odzyskała nareszcie, miał znów od niéj odjechać. Dla tego też Fanny Forrester, jakkolwiek piękna i świetna jak zawsze, czuje jakąś pustkę koło siebie, nie widząc drogich jego rysów wśród tych wesołych twarzy.

Ona i lady Dynely jedynie na ten ślub przyjechały z Włoch; zaraz po nim mają wrócić do Rzymu i przepędzić tam zimę. Ślub jéj z Gordonem ma się odbyć w pierwszym tygodniu maja, a wróciwszy z poślubnéj podróży osiądą w Caryllinie, nad którego upiększeniem pracują już liczni robotnicy.

Eryk z żoną będzie mieszkał w Opactwie, a matka jego osiądzie w Dynely-Hall, posiadłości stanowiącéj jéj dożywocie.

Tak więc w salonach wikaryatu bawią się wesoło, i tańczą przy dźwięku fortepianu, na którym gra najstarsza z panien Higgins. Eryk przewodniczy wszystkim z rozpromienioną twarzą, w najlepszém usposobieniu umysłu. Rzecz trudna do uwierzenia, w przeddzień ślubu jest równie jeszcze głęboko, równie namiętnie zakochanym, jak w owym dniu pamiętnym kiedy ją przycisnął po raz pierwszy do swego niestałego serca. Kto wie jednak czy to potrwa długo. Ta gorączka i szał namiętny nie bywają zwykle długotrwałe ale jakże są rozkoszne dopóki nie przeminą, a mała Iza przyjmuje chętnie świecący szych za najczystsze złoto, i jak łatwo domyśléć się tego, czuje się najszczęśliwszą ze wszystkich istot na świecie.

Lica jéj pokrywa żywy rumieniec, a oczy rzucają błyskawice; słodki i wesoły śmiech świadczy jak błoga przejmuje ją radość.

Teraz nawet, w przeddzień ślubu, zaledwie może dać wiarę swéj niewysłowionéj szczęśliwości. Jakież to cudowne zrządzenie losu, że ten ulubieniec bogów, będzie już na zawsze należyć do niéj od jutra od jedenastéj przed południem. Teraz jest także jedenasta; jeszcze dwanaście godzin, a potém już nic na świecie nie zdoła jéj rozłączyć z ukochanym. Zwraca ku swemu tancerzowi twarzyczkę pokrytą jeszcze tym puszkiem młodości, dodającym tyle uroku młodym dziewczętom, śmieje się i rozmawia z nim wesoło. W ogóle mówi mało, z jednym tylko Terrym może rozmawiać swobodnie, a jakiekolwiek są uczucia Terrego, na pozór wydaje się on zupełnie spokojnym.

Panna Forrester nie tańczy; przechodzi z miejsca na miejsce jak gdyby czegoś szukała. Girlandy z ostrokrzewia, bluszczu i jemioły, zdobią salony. Na polach otaczających wikaryat porozpalano ognie, a w sali jadalnéj nakryto już długi stół, przy którym zasiądą wkrótce wszyscy tam zebrani i powitają rok nowy.

Goście tańczą, lub podzieleni na mniejsze i większe kółka, rozmawiają z sobą. Wikary i lady Dynely, jakaś poważna lady i sir John Shepperton, najznakomitsza osobistość w okolicy, grają w wista.

Fanny wysunęła się nieznacznie z salonu i stanęła na peronie. Była to wspaniała noc zimowa. Ziemia białym przysłonięta kobiercem, połyskuje przy gwiazdach iskrzących się na niebie. Drzewa całkiem ogołocone z liści rysują się wyraźnie na błękitném tle obłoków, przeglądających z pomiędzy gałęzi.

W powietrzu rozlega się głos dzwonów oznajmiających koniec starego roku; za godzinę rozpocznie się Rok nowy; ubiegły był prawdziwie szczęśliwym był dla tego dziewczęcia w białéj sukni przybranéj wonnemi różami, a wszystko zdaje się zapewniać że przyszły będzie szczęśliwszym jeszcze. Z serca jéj przepełnionego wdzięcznością wznosi się dziękczynna modlitwa do Dawcy wszelkiego dobra, któréjby żadne słowa wyrazić nie zdołały.

Tańce ustały na chwilę, tańczący rozpierzchli się i odpoczywają, chłodząc się lodami.

Terry zaprowadził Izę do chłodniejszego gabinetu, gdzie też zaraz nadszedł Eryk z twarzą ożywioną, z oczami błyszczącemi szczęściem, i zawołał siadając na sofie obok narzeczonéj.

„Pożycz mi twego wachlarza, Izo. Spojrzyj na mnie, a zobaczysz człowieka upadającego ze znużenia. Czy widziałaś moją tancerkę, tę młodą a tak strasznie otyłą osobę, któréj byłem ofiarą przez te ostatnie pół godziny. Jest to prawdziwém okrucieństwem zmuszać kogoś aby tańczył z takim ciężarem jak ta panna. Ale widziałem że przez cały czas ścigała cię oczyma, Terry: staraj się uchwycić szczęście dopóki uśmiecha się do ciebie. Ta młoda osoba waży dwieście pięćdziesiąt funtów, i posiada, jak mi mówiono, siedm tysięcy funtów rocznego dochodu. Nie opuszczaj tak korzystnéj sposobności, bo ci się pewno nie zdarzy już nic podobnego.

— Dziękuję odpowiedział Terry, patrząc na wskazaną mu bryłę tłustości z bezmyślnemi oczyma; trzeba niezwykłéj odwagi aby zaślubić taki kawał mięsa, a ja nigdy nie przedstawiałem się za bohatera.

W téj chwili nadeszła Fanny.

„Przychodzę do panów z poleceniem abyście zaprowadzili damy do kolacyi. Ty Eryku, masz podać rękę téj młodéj osobie w zielonéj sukni, z którą tańczyłeś przed chwilą.

— Ani myślę, odpowiedział biorąc Izę pod rękę. Całe życie podobnego szczęścia jak to które mnie czeka, zdołałoby zaledwie wynadgrodzić drugą taką godzinę jak ta którą dopiero co przebyłem.

— W takim razie Terry zaprowadzić ją musi, powiedziała Fanny.

Terry spełnił jéj rozkaz bez szemrania, gdy tymczasem sir John podał rękę pannie Forrester, a lady Dynely zajęła pierwsze miejsce po prawéj stronie wikarego.

Stół był tak długi że nie tylko goście ale i domowi mogli pomieścić się przy nim. Nie była to tak zwana kolacya stojąca, przy któréj dobijać się trzeba o każde skrzydełko drobiu, o każden kieliszek wina. Zrazu słychać było tylko szczękanie noży i widelców po talerzach, potem wystrzały korków od szampańskiego wina, a następnie śmiechy, szmer rozmowy, komplementa i toasty.

Głowa dzika zajmująca środek stołu i trzymająca cytrynę na każdym kle, już zupełnie znikła; piramidy zburzone; pięknie ułożone kremy i galarety zmieniły się w bezkształtne gruzy; po homarach oraz różnego smaku i koloru sałatach nie pozostało żadnego śladu.

Czas bieży szybko. Ostatnia godzina roku zbliża się do końca.

„Już tylko dziesięciu minut brak do dwónastéj, zawołał lord Dynely. Nowy rok nadbiega; niechaj według starego zwyczaju, każdy pije zdrowie osoby którą kocha najwięcéj.

Nalał sobie wina, spojrzał na Izę i trącił kieliszkiem o jéj kieliszek.

— Ja najpierwszy składam ci życzenia, najszczęśliwszego roku.

Szczęśliwego roku! odezwały się chórem wszystkie głosy, podczas gdy każdy zwrócił oczy na kogoś z obecnych. Lady Dynely rzuciła na syna spojrzenie pełne najgłębszéj miłości; Terry pochylił ku niéj głowę z wyrazem wdzięczności, malującym się zwykle na jego twarzy gdy patrzył na swą opiekunkę. Nie miał już prawa dawać Izie pierwszego miejsca w swem sercu. Wikary i żona jego zamienili z sobą pełne życzliwości spojrzenie. Fanny nie zwróciła się do nikogo; myślą przeniosła się daleko, za morze, do tego który był jéj droższym nad wszystkich.

Jak tylko wstano od stołu, wszyscy, jakby za umówionym znakiem, zbliżyli się do okien, chcąc powitać rozpoczynający się zaledwie pierwszy dzień nowego roku. Gwiazdy błyszczące na pogodnem niebie, zdawały się przyglądać śniegiem zasłanéj ziemi; był to widok spokojny, wspaniały. Dzwony odezwały się znowu; stary rok skończony, nowy się zaczyna.

„Król niech żyje, niech żyje król! zawołał lord Dynely. Niech mu towarzyszą nasze dobre życzenia!

Oczy jego błyszczą wyrazem szczęścia, spojrzeniem szuka narzeczonéj. Jutro o téj godzinie będą już daleko, jako mąż i żona, aby już nigdy nie rozłączyć się z sobą.

„Dla czego jesteś tak smutna i zamyślona, Fanny, rzekł do panny Forrester? Wszakże rok ubiegły i dla ciebie był łaskawym. Wszak, jak mówi Tennyson, obdarzył cię szczerym przyjacielem i prawdziwą miłością...

„Którą wydrze rok nowy," dokończyła lady Dynely z uśmiechem. Jest to złowróżbna cytacya; miejmy nadzieję pomyślniejszego losu. A teraz, droga Izo, ponieważ potrzebujesz jutro wstać rano, radzę abyś zaraz położyła się spać, bo inaczéj ta twoja śliczna twarzyczka, zachwycająca nas wszystkich świeżością brzoskwini, może być jutro przed ołtarzem żółta jak cytryna."

Zaproszeni nie pozostający w wikaryacie żegnają się i odjeżdżają do domu; inni udają się do swych pokojów. Szczęśliwa para żegna się czule z sobą, i Eryk wychodzi aby wypalić ostatnie przed ślubem cygaro. Narzeczona odbiera uściski od matki, lady Dynely i Fanny, a następnie nucąc udaje się do siebie.

Jednak nie zaraz jeszcze udała się na spoczynek; odsunąwszy firankę przyglądała się długo wysmukłéj postaci chodzącéj tam i napowrót pod jéj oknem, któréj twarz oświecało czasami zapalone cygaro, i zadawała sobie pytanie, czy nietylko w Anglii ale i na całym świecie, znajduje się ktoś równie szczęśliwy jak ona?

Zaświtał dzień pogodny lecz zimny, pomimo jaskrawych promieni słońca nie przyćmionego najlżejszą nawet chmurką, a w starym domu wikarego niezwykły panuje zamęt. O dziewiątéj podano śniadanie, o dziesiątéj wszyscy zaczęli się ubierać, o jedenastéj zajechały powozy i wszyscy zeszli się w salonie, stanowcza chwila się zbliża.

Panna młoda jest jeszcze w swym pokoju ale już ubrana. Z jéj twarzyczki znikł zupełnie świeży rumieniec: jest teraz bielszą od swéj białéj sukni. Wianeczek z mirtu zdobi jéj głowę, a przejrzysty ślubny welon, jak lekki obłoczek osłania ją całą. Stoi pośród swych dróżek cicha, blada, milcząca, pod wpływem tego niepokoju jaki w nas budzi zawsze myśl że rozpoczynamy nowe życie, oraz silnego wzruszenia czyniącego ją nieczułą na wszystko zresztą. Sprowadzono ją na dół, wsiadła do powozu i przyjechała do kościoła. Pan młody czekał tam już na nią, a szczęście malujące się na jego twarzy dodaje więcéj jeszcze blasku jego piękności. Kościół zapełniony zaproszonymi na ślub, wieśniakami, znajomymi, dziećmi, wszyscy ciekawi byli widzieć w ślubnym ubiorze najpiękniejszą córkę wikarego. Treny ciężkich jedwabnych sukien starszych pań posuwają się z szelestem po posadzce kościoła; druchny w swych leciuchnych ubiorach cicho zbliżają się do ołtarza. Fanny zajmuje wśród nich pierwsze miejsce, i nie mniejsze od panny młodéj wzbudza zachwycenie. Pan młody, nie odznaczający się niczem w swym ubiorze, stoi jak zwykle na drugim planie; jest to jedyna chwila w któréj mężczyzna zrzeka się pierwszeństwa i schodzi na podrzędne stanowisko. Terry Dennison stoi blady, z wyrazem głębokiego cierpienia na twarzy, ale któżby teraz zwracał na niego uwagę?... Tylko Fanny patrzy na niego z wyrazem najgłębszego współczucia i politowania.

Państwo młodzi przystępują do ołtarza, i tak głuche milczenie zapanowało wśród tłumu, że słychać wyraźnie odpowiedzi ich wymawiane cichym głosem przy ołtarzu. Po skończonym obrzędzie odezwał się znów szmer licznych głosów, jak gdyby sobie chciano wynagrodzić chwilowe milczenie. Oblubieńcy i orszak ich weselny, przeszli do zakrystyi dla podpisania aktu ślubnego, a następnie wsiadłszy do powozu wrócili do wikaryatu gdzie już czeka na nich śniadanie. Państwo młodzi odjeżdżają w jednym powozie. Lord Wice-hrabia Dynely już związany nierozerwalnym węzłem.

Po powrocie do domu wszyscy zasiedli do śniadania. Korki od szampańskiego wina strzelają w górę, rozpoczęły się toasty i mowy. Piękna twarz nowożeńca niezwykłem jaśnieje życiem, błękitne oczy płoną ogniem szczęśliwéj miłości; siedząca obok niego uroczo piękna i szczęśliwa pani młoda, uśmiecha się, rumieni i blednie na przemian.

Terry Dennison, siedzący naprzeciwko nich, z prawdziwie heroicznem zaparciem siebie nastrajał się do ogólnego usposobienia, aby nie odgrywać roli upiora przy tak wesołéj uroczystości; ale pomimo najszczerszych usiłowań, na bladéj jego twarzy odbijają się rozpaczliwe uczucia wstrząsające jego sercem.

Po śniadaniu, młoda wicehrabina oddala się aby zmienić toaletę. Państwo młodzi mają się udać południowym pociągiem do Londynu, a ztamtąd do Folkestone; miodowy miesiąc przepędzą w Bretanii, w pierwszych dniach lutego przybędą do Paryża, i dopiero w połowie sezonu wrócą do Londynu.

Ciężki biały atłas, wieniec ślubny i dziewiczy welon, ustępują miejsca podróżnéj sukni z materyi perłowego koloru, ślicznie przypadającéj do świeżéj cery Izy. Gdy włożyła mały okrągły kapelusik z woalką jakby utkaną z pajęczéj przędzy, młodziutka jéj twarzyczka wydawała się podobniejszą do twarzy dziecka niżeli do twarzy młodéj mężatki. Pan młody niecierpliwi się czekając na nią w salonie, a powóz już zajechał. Drży cała ze wzruszenia, ale też jest to taka tkliwa, słaba i wrażliwa istota! Matka jéj płacze głośno; ojciec kaszle i co chwila przeciera okulary; Fanny spogląda na nią z wyrazem szczeréj życzliwości, a w jéj sercu budzi się jakby uczucie litości dla tego wątłego dziecka.

„Eryku, rzekła poważnie kładąc rękę na jego ramieniu, bądź dla niéj dobrym, czuwaj nad nią troskliwie, kochaj ją zawsze. Trzymasz jéj życie w swych rękach; jeżeli ją przestaniesz kochać, jeżeli będziesz dla niéj oziębłym, możesz być pewnym że nie przeżyje tego."

Roześmiał się. Nic go nie może rozgniewać w dniu tak dla niego szczęśliwym, ale doprawdy jest to żart za daleko posunięty.

„Ja miałbym przestać ją kochać, być dla niéj oziębłym!... Gdybym popełnił podobną zbrodnię, zasłużyłbym aby Bóg ukarał mnie śmiercią!

Odsunęła się od niego przestraszona.

„Zapomni o niéj, stanie się oziębłym, szepcze jéj proroczo jakiś głos wewnętrzny, i zasłuży na wydany przez siebie wyrok."

Ktoś inny jeszcze usłyszał jego słowa. Dennison zatrzymał Eryka chwytając go za rękę.

„Strzeż się, Dynely, rzekł ostrym głosem, abyś miał kiedyś zapomnieć twéj przysięgi.

Po tych słowach wbiegł szybko na schody. Lord Dynely spojrzał na niego, wzruszył ramionami i roześmiał się znowu.

„Biedny Terry, rzekł, jest to namiętność silna i stała... Ale czas studzi wszelkie uczucia, miejmy nadzieję że kiedy się znów zjedziemy, będzie wyleczonym ze swego szału.

Otwierają się drzwi pokoju panny młodéj, i wychodzi z niego grono nimf błękitnych, białych i różowych. Panna młoda została na chwilę sama. Dennison wchodzi tam nie zważając na to co o tem może kto myśléć lub mówić; zbliża się do młodziuchnéj parowéj Anglii, ujmuje jéj rączęta, ściska je silnie, i z głębokim smutkiem wpatruje się w jéj ładną i miłą twarzyczkę.

„Izo, odezwał się stłumionym i urywanym głosem, muszę powiedziéć ci jeszcze kilka słów zanim się rozłączymy. Przyrzecz mi, że gdybyś kiedykolwiek znalazła się w położeniu smutnem, bolesnem, dasz mi znać o tem. Byliśmy z sobą przez całe życie jak brat z siostrą; zaklinam cię na pamięć tego wspólnego naszego przywiązania, abyś do mnie tylko się udała, w razie gdyby pomoc przyjaciela była ci potrzebną."

Spojrzała na niego zdumionym wzrokiem. O! do końca życia nie zapomni tego spojrzenia promieniejącego wyrazem niewysłowionego szczęścia.

„Ja miałabym doznawać smutku!... potrzebować pomocy przyjaciela! powtórzyła z radośnym uśmiechem; ja, żona Eryka! O! mój dobry Terry, mój bracie kochany, to zupełne niepodobieństwo. Jestem bardzo szczęśliwą... najszczęśliwszą istotą na ziemi.

— Wiem o tem, a jednak proszę cię nie odmawiaj mi... Któż może przewidziéć przyszłość? Jeżeliby kiedyś smutek przygnębił twą duszę, ale nie mówię bynajmniéj że tak ma być koniecznie, i proszę Boga aby nigdy tak nie było, jeżelibyś jednak kiedy potrzebowała pomocy, w takim razie odwołaj się do mnie.

— Czynić podobne przypuszczenia byłoby zdradą względem Eryka, odpowiedziała śmiejąc się, jeżeli jednak może ci to zrobić przyjemność, rzekła patrząc na niego z wyrazem litości, przyrzekam ci to chętnie, mimo najsilniejszego przekonania że nie będziesz miał nigdy sposobności przypomnienia mi

tej obietnicy. Żaden smutek nie zdoła mnie już dotknąć, Eryk mnie kocha i zostałam jego żoną. Puść mnie już, Terry; on tam na mnie czeka.

Uścisnął jéj rękę i puścił ją natychmiast.

— Bądź zdrów, Terry, rzekła patrząc na niego z wyrazem współczucia. Jeżeli ci zrobiłam jaką przykrość, przebacz mi zanim odjadę.

— Nie mam ci nic do przebaczenia, odpowiedział prędko. Któżby mógł widziéć cię i nie pokochać, a zdaje się że wszystkie kobiety muszą kochać Eryka. Bądź zdrowa, Izo, niech cię Bóg błogosławi!

Oddalił się, a ona pobiegła do niecierpliwiącego się już swego wszechwładnego pana.

„Pożegnałam... Terrego, wybąkała drżąca, bo ją przeraził widok zmarszczonych brwi jego.

Twarz Eryka wypogodziła się jednak natychmiast gdy ją zobaczył.

„Bądź zdrowa! bądź zdrowa! powtarzają wszystkie usta.

Iza przechodzi z rąk do rąk, wszyscy ją całują, ściskają i płaczą; tylko panna Forrester spogląda złośliwie na zniecierpliwionego tem do najwyższego stopnia Eryka, który chciałby już jak najprędzéj uprowadzić żonę.

Nakoniec pożegnali ją wszyscy.

Lord Dynely podał rękę żonie, wsadził ją do powozu, sam usiadł przy niéj, zatrzasnął drzwiczki, pocztylion trzasnął z bicza i powóz ruszył. Pozostali powiewają chustkami dopóki nie zniknęli im z oczu na zakręcie drogi.

Niektórzy z zaproszonych odjeżdżają natychmiast, inni wybierają się dopiero nazajutrz. Po zgiełku i wrzawie zapanowało głuche milczenie w tym domu przed chwilą tak wesołym i ożywionym, a który obecnie wyglądał jakby go śmierć nawiedziła.

Najprzód wyjechał Terry Dennison, udający się do swego pułku, a zaraz po nim lady Dynely, matka, i panna Forrester. Wracają do Rzymu, a Fanny nie ukrywa się z tem wcale że radaby tam być jak najprędzéj.

Nazajutrz dzień był słotny i zimny, prawdziwie zimowy. Ostatni goście odjechali południowym pociągiem, i osamotnienie silniéj jeszcze czuć się daje. Pozostałe w domu siedm panien Higgins błąkają się smutnie po pustych teraz, a niedawno jeszcze tak ożywionych pokojach; przykro im widocznie że muszą znów wrócić do nudnego, jednostajnego życia.

Za nadejściem nocy dom wikarego wydaje się posępniejszym jeszcze i jakby opustoszałym, pomimo że znajduje się w nim jeszcze kilka młodych dziewcząt.

Tom II.

CZĘŚĆ DRUGA.

Rozdział I.

Jak się zaczął rok nowy.

W słotny i mglisty wieczór jednego z pierwszych dni lutego, unosiły się nad Londynem szare, posępne chmury, z których bez ustanku spadały strumienie deszczu na pokryte błotem ulice. Wśród tej atmosfery, nawiedzającéj tak często stolicę Anglii, przesuwający się gdzie nie gdzie przechodnie wyglądali jak czarne widma, chroniące się pod parasolami i owinięte w obszerne płaszcze. Latarnie gazowe palące się już przez cały dzień, migotały wśród gęstéj mgły, jakby jakieś złowrogie krwawe plamy.

Ulice City były jak zwykle pełne wrzawy i życia, ale na West-End pusto było i głucho. Nadeszła najprzykrzejsza pora roku: najwspanialsze domy hermetycznie zamknięte przedstawiały się posępnie; czuć w nich było pustkę; elegancki świat zamieszkujący Belgrawe i Mayfair, pojechał szukać pogodniejszego nieba. Nawet wspaniałe i świetnie oświetlone sklepy przy Regent Street, nie przywabiały kupujących w ten mglisty i przykry wieczór zimowy.

Przy oknie jednego z klubów przy Saint James Stret, siedział młody mężczyzna i paląc cygaro przyglądał się temu posępnemu widokowi. Gdzie nie gdzie przyćmione mgłą światło latarni gazowych odbijało się na mokrych chodnikach; niekiedy przesunął się jakiś przechodzień, lub jakiś krzyk przerywał ciszę. Nie było w tem nic zajmującego, a pomimo to siedział on tam już przeszło godzinę, z oczyma wlepionemi w szybę zroszoną kroplami deszczu. Tym młodym mężczyzną którego znajdujemy w zachodniéj części Londynu, wśród najprzykrzejszéj pory roku, był Terry Dennison. Otrzymał właśnie urlop na piętnaście dni, ale sam może nie umiałby powiedziéć dla czego przybył do Londynu w najprzykrzejszéj tam porze roku. Wszakże znał tak wiele osób na wsi u których znalazłby miłe towarzystwo i gościnne przyjęcie, gdzie odbywały się świetne polowania; ale nie nęciły go już wszelkie zabawy, i wolał przybyć tam gdzie był tak samotnym jakby się znajdował na bezludnéj wyspie.

Pięć tygodni upłynionych od ślubu Izabeli Higgins nie zabliźniły wcale rany w sercu Terrego; był smutny, znużony. Poczciwe jego niebieskie oczy zachowały dawny wyraz szczerości i dobroci, ale obok tego malowało się w nich głębokie zniechęcenie. Gdzie oni są? myślał. Gdzie ona jest? co teraz robi?

Czy pojechała już z Erykiem do Paryża, czy też znajdują się w Rzymie, razem z lady Dynely, panną Forrester i Gordonem Caryll? Opanowała go nieprzeparta chęć zobaczenia Izy. Jest to szaleństwo, on sam wie o tem, może nawet coś gorszego niż szaleństwo, ale mimo to musi zobaczyć młodą lady Dynely zanim skończy się jego urlop.

Zgasły już ostatnie odblaski tego dnia podobniejszego do nocy, kiedy przed drzwiami klubu zatrzymał się powóz z którego wysiadł dość jeszcze młody mężczyzna. Światło palącego się tam gazu oświetliło na chwilę jego twarz, Terry poznał w nim jednego ze swych dawnych znajomych, i skoro tylko wszedł podał mu rękę.

„A! to ty Dennison'ie. Cieszę się niewymownie że cię tu spotkałem. Dostrzegłem jakąś twarz w oknie, i sądziłem że to Nowo-Zelandczyk Macaulay'a przybył tu filozofować nad spustoszeniem Londynu. Nieznośny czas, jak to zresztą bywa zawsze. Nie pojmuję jak blizko trzy miliony ludzi mogą żyć oddychając takiem powietrzem.

Upadł na krzesło z miną zapowiadającą że nie myśli łamać sobie głowy nad rozwiązaniem tak trudnego zadania.

— Sądziłem że jesteś w Grecyi, Burrard'zie, rzekł Dennison siadając obok niego na fotelu.

— Bawiłem tam przez cały styczeń, po czem wyjechałem do Paryża, aby, jak to mówią, użyć przyjemności świata i już pokosztowałem ich nawet... jest tam obecnie Felicya, już wiesz o kim mówię... kiedy odebrałem telegram z hrabstwa Somerset, powołujący mnie tam natychmiast. Ojciec mój cierpi na podagrę w żołądku, zdaje mu się że umrze, i dla tego chce miéć przy sobie całe swoje potomstwo. Już piąty raz przywołują mnie tak nagle, dodał Burrard z wyrazem niezadowolnienia, a zawsze na próżno. Jest to tylko przywidzenie mego ojca, i wszyscy o tem wiemy, ale że w razie nieposłuszeństwa mógłby nam nie dać ani jednego szyllinga, musimy zastosować się do jego woli. To rzecz tak nieznośna przepływać kanał la Manche, zawsze dostaję morskiéj choroby; wierzaj mi, Terry, że to prawdziwa męczarnia dla mnie, dodał z miną zadąsaną.

— Tak, to rzecz bardzo przykra, odpowiedział, śmiejąc się Terry, ale miejmy nadzieję że obecnie podróż twoja nie będzie bezużyteczną. Powiadasz więc że Paryż jest teraz wcale przyjemnem miejscem pobytu, że w nim nie ma mgły? Doprawdy mam ochotę pojechać tam na kilka dni. Czy jest tam dużo naszych znajomych?

— Dosyć, odpowiedział Burrard. Jak to już powiedziałem, Felicya występuje w teatrze *Nouveautés*, jeszcze piękniejsza, młodsza i niebezpieczniejsza jak dawniéj. Ah! Terry, nieporównana sztuka rozkosznych kolacyjek, nie zaginie dopóki ta kobieta żyć będzie. To czarownica, czarodziejka, wieszczka; możesz mi wierzyć że jest tem wszystkiem. Musi miéć najmniéj trzydzieści pięć lat, a kiedy onegdaj siedziałem obok niéj, byłbym przysiągł że nie ma więcéj nad ośmnaście.

— Rzeczywiście jest to rzadki dar losu, odpowiedział Terry zapalając nowe cygaro; ale zdawało mi się, że, o ile to ciebie dotyczy, jest to stara historya i dawno już zapomniana. Sądziłem że już zupełnie odzyskałeś zdrowy rozsądek, i masz zamiar poszukać sobie żony w odpowiedniéj sobie sferze. Może już znalazłeś?

Podał mu cygarniczkę, Burrard wyjął z niéj cygaro i zapalił.

Wszakże znasz Felicyę, Terry? zapytał po chwili puszczając kłęby dymu.

Terry skinął twierdząco głową.

— Ale pomimo to nie należałeś nigdy do liczby jéj ofiar, czy tak? mówił daléj Burrard.

— O! nie, nigdy, odpowiedział Terry, ze szczerym śmiechem. Nie nęciła mnie wcale rola ofiary jakiegoś drapieżnego zwierzęcia ukrywającego się pod postacią kobiety. Zresztą, nie mogłem nigdy zrozumiéć co takiego było w téj Felicyi, coby mi mogło wytłomaczyć dla czego mężczyźni słali się pod jéj stopy, jak zboże podcięte kosą żniwiarza. Jest to tylko strasznie piękna kobieta dla tych którzy lubią cerę ogorzałą, a do których ja nie należę, i umie doskonale posługiwać się swemi czarnemi oczyma. Ale nigdy żadna baletniczka, choć byłaby nawet córką saméj Herodiady, nie zdołałaby przyśpieszyć bicia mego pulsu na jedną sekundę.

— Ale bo też ty należysz do zwierząt zimnokrwistych, Terry, powiedział Burrard. Twoja obojętność dla wszystkich w ogóle kobiet jest już powszechnie znaną. Bywałeś jednak u Felicyi w czasie jéj pobytu w Londynie.

(d. c. n.)



N. 1. Sukieneczka wycięta dla dziecka lat 1—3. Patrz szlaczek ryc. 23. Krój stanika na ark. Nr III, Fig. 7—9.



N. 3. Chusteczka w kształcie żabotu i odpowiednie przybranie rękawów.



N. 2. Sukienka princesse dla małej dziewczynki.

Opis do N. 31.

(*Dokończenie*).

N. 13. Sukienka biała batystowa dla małej dziewczynki. Krój stanika podług formy do ryc. 1 w N. 32.

Batyst na stanik wycięty zaszywa się najpierw w zakładki pół centym. szerokie, następnie przykrawa podług formy i wszywa w górze w prosty pasek i ramiączka 2 cent. szerokie. Pasek 3 cent. szeróki łączy stanik z prostą w górę zmarszczoną spódniczką, zakończoną u dołu obrębem 3 cent. szerokim i trzema zakładkami pół cent. szerokiemi. Wykrój stanika i krótkie rękawki oszyte wązkim haftowanym szlaczkiem.

N. 14. Sukienka batystowa formą princesse, ze stanikiem wyciętym, dla małej dziewczynki. Bardzo długi stanik składa się z pasów batystu zaszytych w zakładki i wstawek haftowanych 3 centym. szerokich. W spódniczce fałdy są tylko zaprasowane. Szarfa 17 centym. szeroka a 200 długa z batystu albo z kolorowej materyi.

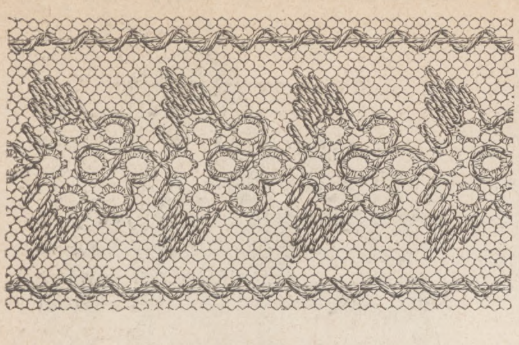


N. 4 i 5. Suknia ze stanikiem bluzkowym podłużonym a panier.

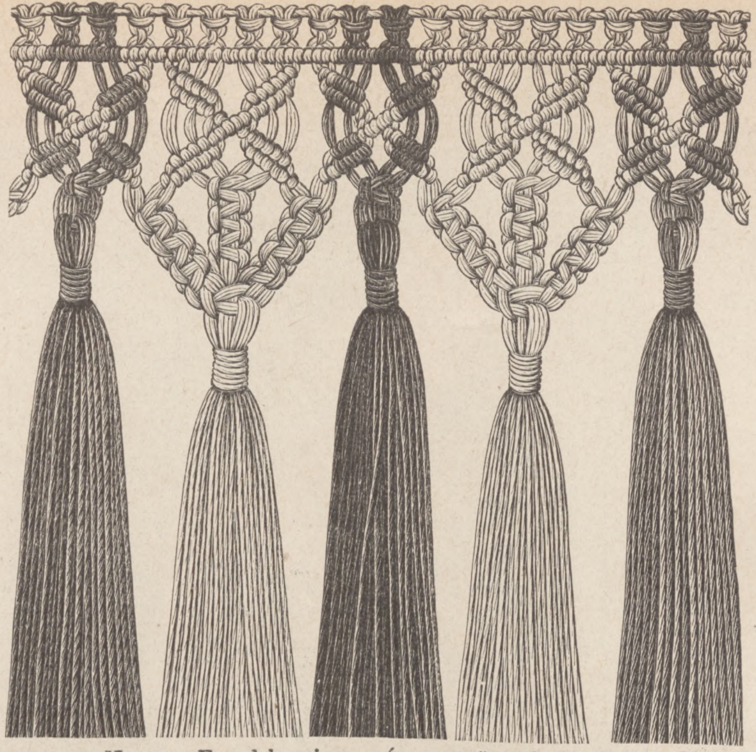


N. 6. Sukienka dla panienki lat 14—16. Krój tuniki Nr V, Fig. 56.

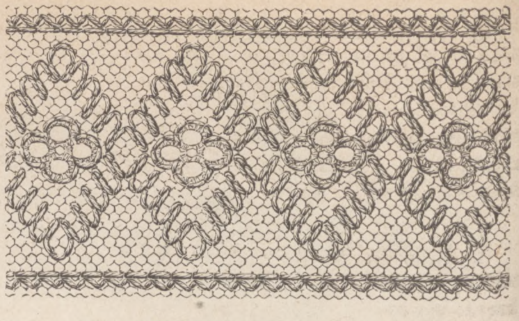
N. 7. Sukienka princesse batystowa dla panienki lat 10—12.



N. 8. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 10. Frendzla wiązana (macramé) w dwóch kolorach.



N. 9. Wszywka wywodzona na tiulu.

N. 15. Serwetka z koronki irlandzkiej. Czwarta część deseniu na arkuszu z formami Fig. 20. Do roboty potrzebna średniej cienkości tasiemka i nici w kolorze écru.

N. 16 — 17. Fryzka i mankiety z muślinu indyjskiego i koronki.

Środek fryzki i mankietów stanowi pasek muślinu, pokryty podłużnie fałdowanym muślinem indyjskim, oszyty koronką plisowaną 3 i 5 cent. szeroką. Fryzka przy szyi i mankiety przy ręku podgarnirowane falbanką z crêpe-lisse. Kokarda z krepy i muślinu.

N. 18. Fryzka z żabotem. Odpowiedniej długości pasek muślinowy pokryty wstawką koronkową podwleczoną wstążką, garniruje się w górze plisowaniem z crêpe-lisse i koronki bretońskiej, ułożonem w podwójne kontrafałdki a u dołu oszywa plisowaną koronką. Żabot składa się z dwóch kawałków muślinu indyjskiego, 8 cent. szerokich a 20 długich, w dolnym końcu zaokrąglonych, w koło plisowaną koronką oszytych i wachlarzowo przyfałdowanych, w sposob na rycinie 18 wskazany. Wstążka kolorowa 2 cent. szeroka dopełnia przystrojenie.

N. 19 — 20. Spódniczki dwie krótkie. Krój N. XVI i XVII, Fig. 57—58.

N. 19. Spódniczka z zaokrąglonym paskiem. Fig. 58 podaje mały model i miary spódniczki z białego szyrtyngu lub barchanu pikowego. W górze spódniczkę wszywa się gładko w pasek, a tylne wązkie bryciki dopełnione są brytem prostym 96 do 160 centym. szerokim. Dół spódniczki zdobi 7 rzędów stę-



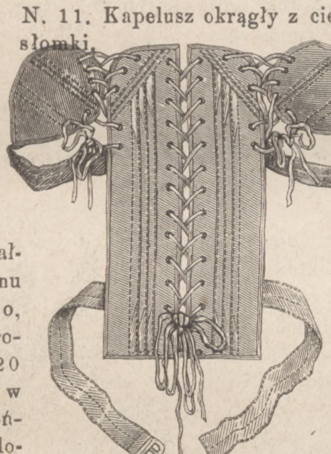
N. 11. Kapelusz okrągły z cienkiej słomki.



N. 13. Teka na pisma peryodyczne. Patrz ryc. 14. Monogram na ark. Fig. 59.



N. 12. Kapelusz okrągły z grubej słomki.



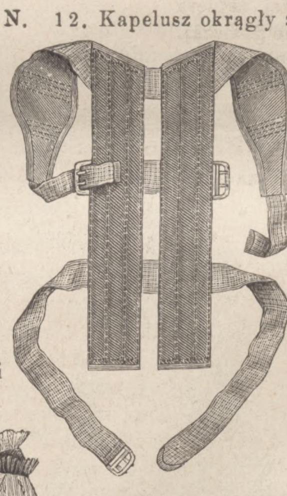
N. 17. Sznurówka do prostego trzymania się dla dziewczynki lat 6—8. Krój na ark. N. VI Fig. 16—17.



N. 15. Suknia z chustek perkalowych. Patrz r. 51.



N. 16. Plecy sukni ryc. 1 w N. 31.



N. 18 Pas do prostego trzymania się dla chłopca lat 7—9. Krój na ark. N. VII, Fig. 18—19.

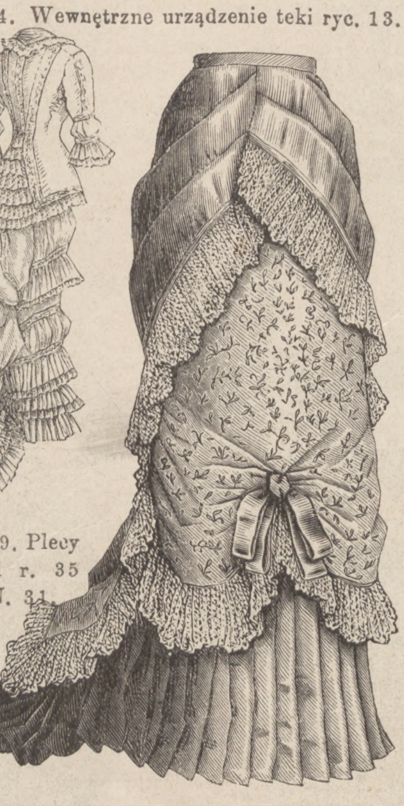


N. 14. Wewnętrzne urządzenie teki ryc. 13.

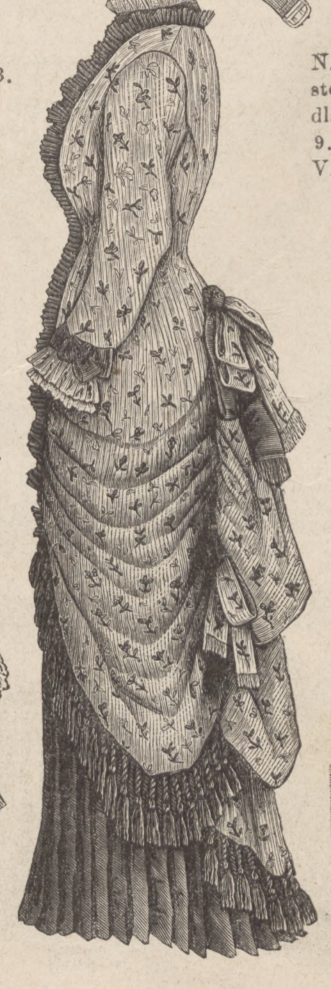




N. 19. Plecy sukni r. 35 w N. 31.



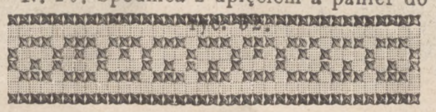
N. 20. Spódnica z upięciem a panier do





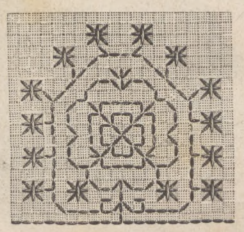
N. 24. Rzucik ściegiem jelnkowym na dwie strony do ryc. 31 w N. 31.

N. 21. Suknia z plisowaną spódnicą tuniką i stanikiem dla młodej panienki. Patrz ryc. 1 w N. 31.



N. 23. Szlaczek do ryc. 1.

N. 22. Suknia z vêtement.



N. 25. Rzucik do ryc. 31 w N. 31.

bnówki i falbanka plisowana 5 cent. szeroka oszyta koronką nicianą.

N. 20. Kolorowa spódniczka z długim pasem. Krój Fig. 57.

Model spódniczki odrobiony był z satynki niebieskiej, a u dołu oszyty plisą szafirową 30 cent. szeroką, do formy spódnicy dopasowaną, w górze wyciętą w zęby 5 cent. szerokie a 6 wysokie, doł spódnicy jest w zęby wydziergany i podszyty falbaną białą haftowaną 7 centym. szeroką, drobno zmarszczoną i w wązką listewkę wszytą. Cała spódniczka aż do pasa, jest w równych odstępach wzdłuż szafirowem jedwabiem stębnowana. Pas z długą baskiną z tyłu w górze podszywa się listewką przestębnowaną do nawleczenia tasiemki wiązanej z przodu, a z tyłu zapina na guziki. Przednie i boczne bryty wszywają się podług znaków gładko, a bryt tylny składa się w dwie 8 cent. szerokie kontrafałdy; od spodu przyszycie pokrywa listewka.

N. 26. Parawan przed kominek albo przed łóżko, ozdobiony haftem złotym albo krzyżowym.

Model parawana przeznaczony na podarunek w dniu złotego wesela, na środkowem skrzydle miał na tle perłowem sukiennem wyhaftowaną złotem i perłami cyfrę jubilatów i rok bieżący, otoczone wieńcem mirtowym. Skrzydła boczne, dół i góra skrzydła środkowego haftowane były krzyżykami różnokolorową filozelą i włóczką. Oprawa z drzewa złoconego składa się z pięciu skrzydeł z których środkowe było 70, brzeżne 62 cent. wysokie, a wszystkie razem 180 cent. szerokie.

N. 30. Chusteczka bawełnowa układa się na podszewce ze szty-

wnego tiulu, mającej 43 cent. długości a 14 i pół górnej szerokości. Środek stanowi tiul bufowany a brzegi koronka wachlarzowo układana. Wykrój szyi ogarnirowany koronką i fryzką z crêpe-lisse, do przybrania służy kolorowa wstążka i kwiaty.

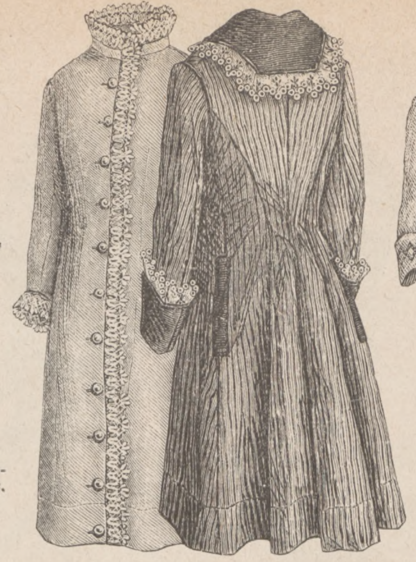
N. 31. Chusteczka bawetowa aksamitna, haftowana kordonkiem ściegiem krzyżowym lub pojedynczym na dwie strony. Próbki deseniu r. 24 i 25 w N. 32.

N. 32. Kostjum z tunikowem upięciem na spódnicy.

Jasno popielata krótka batystowa suknia ozdobiona draperyą suto haftowaną różno kolorową bawełną. Ma spódnicę zakończoną szeroką nadpowietrzną falbaną, ułożoną w duże fałdy i oszytą wąskiem, drobnem plisowaniem. Przody stanika i mankiety ozdobione szlaczkiem haftu; kamizelka z materyi jasno niebieskiej zapięta na takież szmuklerskie guziczki. Na tunikową draperyę z przodu potrzeba bryta 108 cent. dłu-



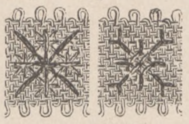
N. 26. Sukienka zastępująca fartuszek. Szlaki ryc. 27—28.



N. 30—31. Sukienka negliżowa dla dziewczynki lat 6—8. Patrz koronkę ryc. 22—23 w N. 31. Krój na ark. N. XI Fig. 45—46a.



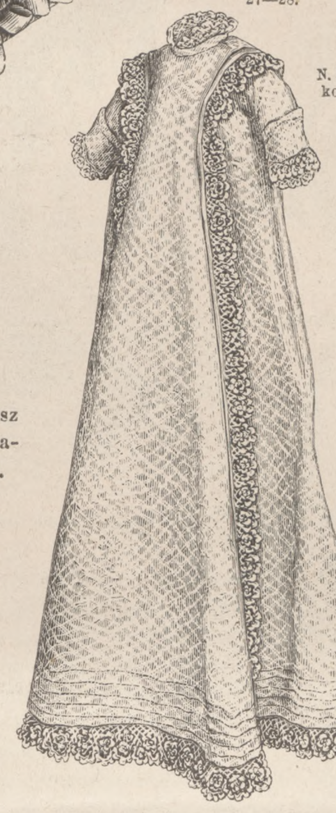
N. 29. Kaftaniczek dla małego dziecka. Krój na ark. N. IV F. 10—14.



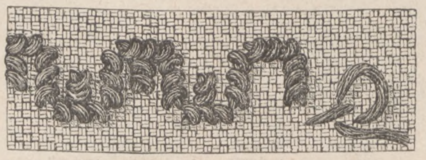
N. 27 i 28. Szlaczki do ryciny 26.



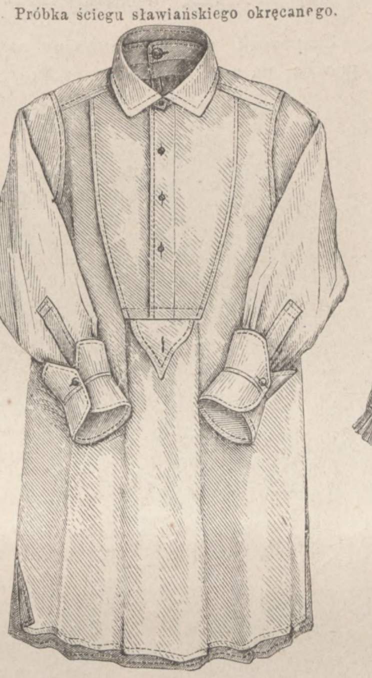
N. 32. Kapelusz słomkowy dla małej dziewczynki.



N. 34. Sukieneczka dla dziecka noszonego na ręku. Patrz ryc. 35. Krój na ark. N. XII Fig. 48—52a.



N. 37. Próbka ściegu sławiańskiego okręcanego.



N. 36. Koszula zapinana z tyłu z kołnierzem wykładanym i mankietami dla chłopca lat 12—14. Krój na ark. Nr X Fig. 34—44.

napowietrznego, ułożonego w płaskie fałdy. Przy plecach z bardzo długą baskiną dodaje się materyału na szerokie podwójne kontrafałdy, na które zachodzą patki przy boczkach ukrojone, ogarnirowane koronką bretońską. Pod przody stanika zapięte na 2 lub 3 guziki, dodana jest kamizelka kolorowo haftowana Żabot i mankiety z bretońskiej koronki; kokardy z wąskiej wstążki „serge" tego co suknia koloru. Kapelusz jak na ryc. 50 w N. 32.



N. 33. Kapelusz dla małej dziewczynki.

N. 35 i ryc. 8—9 i 19 w N. 32. **Suknia** biała muślinowa. Krój spódnicy Nr XIV, Fig. 55.

Biała muślinowa suknia przystrojona jest takiemiż bufkami i plisowaniem węższem i szerszem, oraz wstawkami i koronkami bretońskiemi, albo własnoręcznie odrobionemi; próbki koronek zobaczyć na ryc. 27 i 28 w N. bieżącym, wstawki na ryc. 8 i 9 w N. 32. Bryt tylny 173 cent. długi, z dodaniem pukli muślinowych, upięty jest

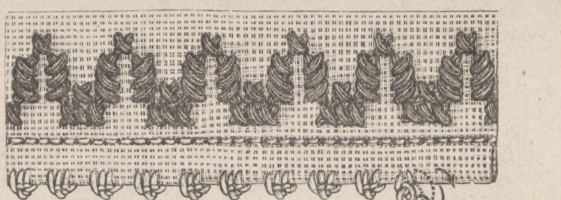


N. 35. Sukieneczka dla dziecka noszonego na ręku. Przód patrz ryc. 34.

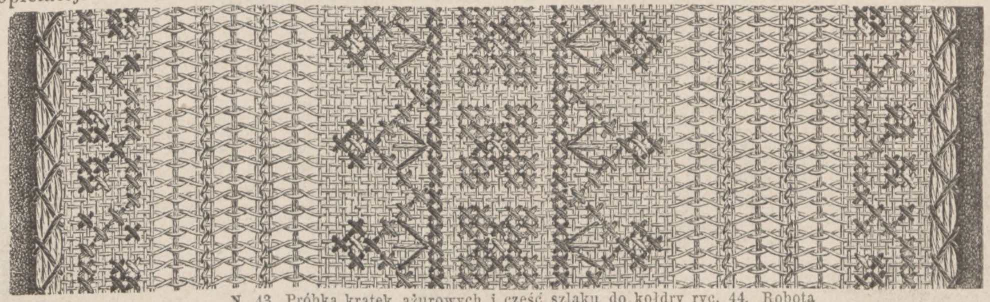


N. 41. Sukienka albo fartuszek bluzkowy dla dziewczynki lat 6—8. Przód na ryc. 42. Krój N. II Fig. 4—6.

giego a 110 szerokiego któren przez środek u góry jest mocno przymarszczony, w gósze w pasek od spódnicy wszyty, z boków do 53 cent. długości sfałdowany i między tylne i boczne bryty wszyty. Z tyłu dane także lekkie upięcie. Kokardy ze wstążki atłasowej z jednej strony niebieskiej a z drugiej popielatej.



N. 38. Szlaczek robiony ściegiem okręcanym z obrąbkiem przyszytym kratką i zakończonym ząbkami.



N. 43. Próbka kratek ażurowych i część szlaku do kołdry ryc. 44. Robota krzyżowa i ściegiem długim na kanwie kongresowej.

w sposób wskazany na ryc. 19 w N. 32, która pokazuje także przystrojenie pleców. poprzeczne przemarszczenie bryta 76 cent. szerokiego, wskazanee jest na Fig. 55 linijkami; marszczki ściągnięte do 26 cent. podszywa się od spodu listewką. Boki bryta podług krzyżyków przyfałdowane, zeszywa się z klinami.

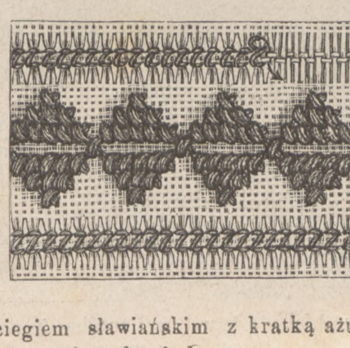


N. 42. Bluzka dla dziewczynki lat 6. do 8. Przód na ryc. 41.

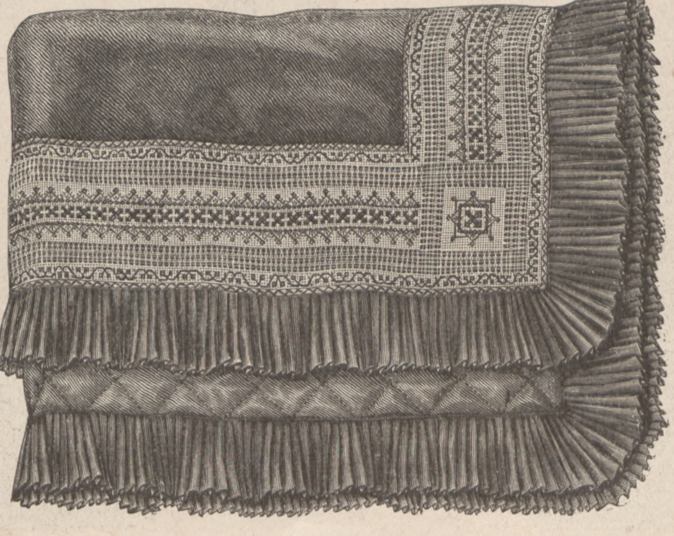
N. 33. Poduszka pod nogi, haft „renaissance" na suknie popielatem jedwabiem różnokolorowym.

N. 34. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.

Ubranie to odrobione było z paljowego „Virginie" gładkiego i w pasy matowe przerabianego, (materyał ten jest rodzajem „mousseline de laine" z materyału w pasy dane są 9 cent. szerokie plisy do tuniki i do 35 cent. szerokiego wolantu



N. 39. Szlak ściegiem sławiańskim z kratką ażurową obrobioną bawełną kolorową.



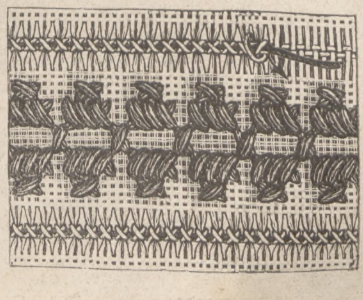
N. 44. Kołdra ze szlakiem robotą krzyżykową z kratką ażurową na kanwie kongresowej. Patrz ryc. 43.

Opis do N-ru 32.

——ooo——

N. 1 i 23. Sukieneczka wycięta dla dziecka lat 1—3. Krój staniczka na ark. Nr III, Fig. 7—9.

Stanik przykrojony podług Fig. 7—9 zszywa się z sukienką 25 cent. długą, 160 szeroką złożoną w kontrafałdy po 6 c. szerokie; szarfa



N. 40. Szlaczek ściegiem sławiańskim okręcanym, z kratką ażurową robioną krzyżykami białemi na podłożonej nitce kolorowej.

z tego co suknia materyału 16 cent. szeroka a 150 długa, wycięta u dołu w proste podłużne zęby. Pliski 3 centym szerokie, wyszyte podług ryc. 23.

N. 2. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

Krając przody i plecy trzeba naddać materyału na fałdy po 4 i pół cent. szerokie, założone wzdłuż sukienki. Model z białego batystu zdobny był 4 cent szerokiemi wszywkami i falbankami haftowanemi.



N. 49. Kapelusz z płaską główką dla młodej panienki.



N. 45. Czepeczek negliżowy ubrany wstążką szkocką. Tył czepeczka na ryc. 48, forma czółka N. V Fig. 15.



N. 50. Kapelusz ze śpiczastą główką dla młodej panienki.

N. 3. Chusteczka w kształcie żabotu i odpowiednie przybranie.

Skos muślinowy 44 cent. długi a 12 szeroki, przez złożenie w fałdy zwężony do 3 cent. i oszyty z brzegów koronką lekko namarszczoną stanowi część kołnierzykową chusteczki, którą naokoło szyi można podgarnirować riuszą z crêpe-lisse. Część żabotową składają dwa końce skośne muślinowe po 15 cent. szerokie, po 42 długie, oszyte koronką upięte podług ryciny 3. Zapięcie pod szyją przysłania węzeł muślinowy ogarnirowany koronką.



N. 46. Czepeczek negliżowy ubrany materyą kolorową. Tył czepeczka na ryc. 47, krój czółka jak do ryc. 45.



N. 47. Czepeczek ubrany materyą kolorową. Przód na ryc. 46.



N. 48. Czepeczek ubrany wstążką szkocką. Przód na ryc. 46.

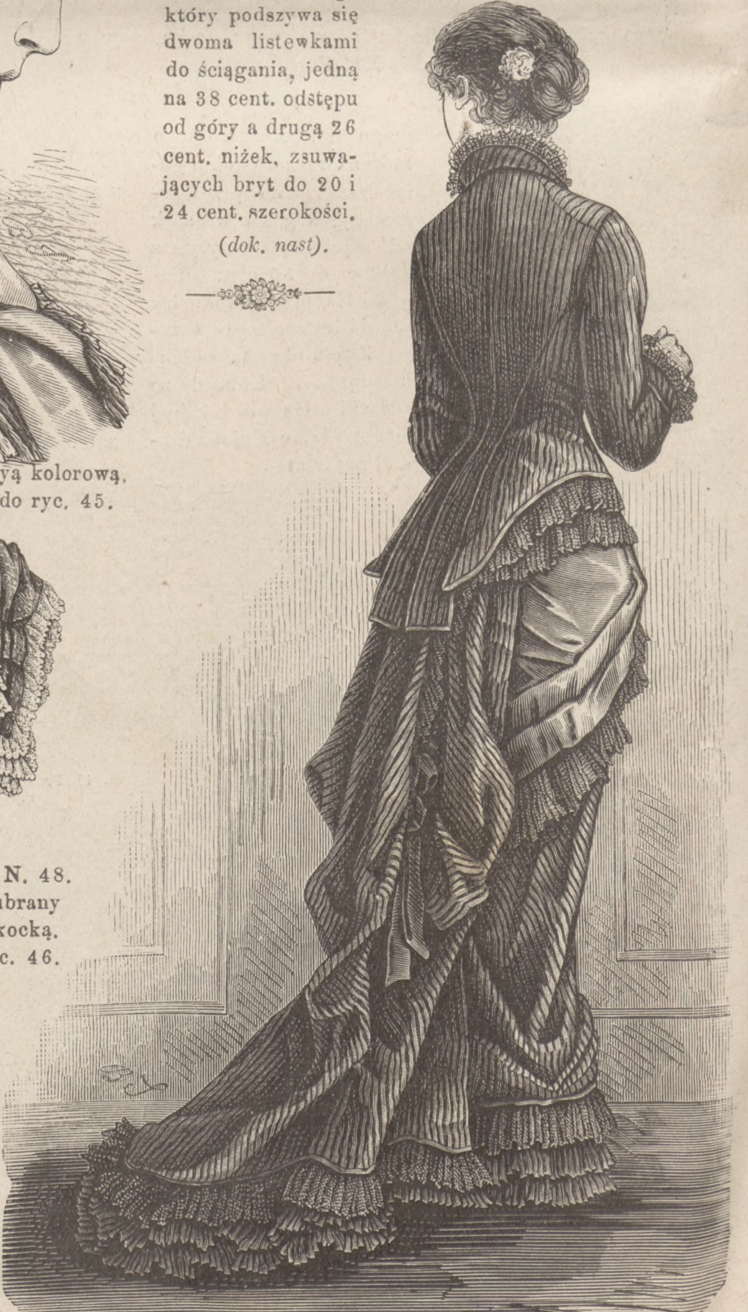


N. 51. Ubranie letnie z chustek kretonowych. Patrz przód sukni na rycinie 15.

N. 4—5. Suknia ze stanikiem bluzkowym przedłużonym à panier.

Rycina 4 i 5 przedstawia przód i plecy sukni niesięgającej do ziemi, ze stanikiem bluzkowym przedłużonym à panier, którą można odszyć z kretonu lub wełnianego materyału. Bluzkę przykroić można podług formy paletota bez zaszewek z przodu, z tyłu od paska do dołu rozciętą i podpiętą przez założenie trzech fałd. Stanik przedstawiony na rycinie 4 i 5 dopełniony jest prostym karczkiem, przody zaś i plecy ma fałdowane, między fałdami wsuwane są wypustki z tego co przybranie materyału. Spódnica liczy 99 cent. długości z przodu a 106 z tyłu i składa się z przedniego bryta 24 centym. u góry a 56 u dołu szerokiego, z dwóch klinów bocznych po 18 cent. u góry a 42 u dołu szerokich i z prostego tylnego bryta 60 cent. szerokiego który podszywa się dwoma listewkami do ściągania, jedną na 38 cent. odstępu od góry a drugą 26 cent. niżej, zsuwających bryt do 20 i 24 cent. szerokości.

(dok. nast).



N. 52. Ubranie ze stanikiem z bawetem i tuniką à panier. Patrz przód upięcia na ryc. 20. Krój Nr VIII, Fig. 22—30.



Pl. 401.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32

N. I. Mantyla z szalowym kołnierzem. Ryc. 2 w N. 31.

Fig. 1. Przód (A, B, D) 1 załamanie formy — — —
Fig. 2. Plecy (A, B, C, *) ～～～
Fig. 3. Kołnierz szalowy (C, D)
Fig. 1—3. Zmniejszony rysunek wszystkich części mantyli.

N. II. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynek lat 6 — 8. Rycina 41 — 42 w N-rze 32.

Fig. 4. Połowa środkowej części przodu (E, F, H, *) ═ × ═ ×
Fig. 5. Druga część przodu (E, F, G, I, K, *)
Fig. 6. Plecy (G, H, I, K, :, × 1 i · 1) 1 załamanie formy ═ o ═

N. III. Stanik do sukienki dla dziecka 1 — 3 lat. Rycina 1 — 2 w N-rze 32.

Fig. 7. Połowa przodu (L, M, N, O) — * — * —
Fig. 8. Plecy (L, M, N, O)
Fig. 9. Rękaw (L, *)

N. IV. Kaftaniczek dziecinny. Rycina 29 w N-rze 32.

Fig. 10. Przód (P, Q, R, S, T, Y) — o — o —
Fig. 11. Połowa pleców (P, Q, R, S, X, :, *, +)
Fig. 12. Rękaw (T, U, V, W) × × × ×
Fig. 13. Połowa kołnierza (X, Y) × • × • × •
Fig. 14. Patka (:, *) * * * *

N. V. Czółko do czepka rannego, ryc. 46 — 48 w N. 32.

Fig. 15. Połowa czółka

N. VI. Pasek dla prostego trzymania się, dla dziewcząt lat 6 — 8. Ryc. 17 w N. 32.


Fig. 16. Plecy (*, :, ·, +) — × — × —
Fig. 17. Ramiączka

N. VII. Pasek dla prostego trzymania się, dla chłopców lat 7 — 9. Ryc. 18 w N. 32.

Fig. 18. Plecy (a, b, c, d, e, f, g, h, i, k, l)
Fig. 19. Ramiączko (:, *)

Desenie do ryc. 15 i 32 w N. 31.

Fig. 20. 1/4 część deseniu na koronkową serwetkę ryc. 18 w N. 31.
Fig. 21. Połowa deseniu na haft „renaissance" do podnóżka rycina 32 w N-rze 31.



N. VIII. *Stanik* z bawetem i tunika do ryc. 20 i 52 w N-rze 32 i do ryc. 21 w N. 31.

Miara górnej połowy stanu 50, w pasie 34 cent.

Fig. 22. Część górna do przodów (A, B) ←→ ←→
Fig. 23. Przód (A, B, C, D, I, K, L, S) ━━━
Fig. 24. Boczek przedni (C, D, E, F) —•— —•— —•—
Fig. 25. Boczek do pleców (E, F, G, H) ∽∽∽∽
Fig. 26. Plecy (G, H, I, K, R, *) i załamanie formy =×=×=
Fig. 27. Rękaw (L, M, N, O, P, Q) ⋈ ⋈ ⋈
Fig. 28. Mankiet (P, Q) o o o o o
Fig. 29. Połowa kołnierza (R, S) × × × ×
Fig. 30. Zmniejszony format i miary połowy draperyi tunikowej *a* połowa przedniego bryta, *b* bryt tylny, *c* panier.

N. IX. *Sukienka* ochronna dla dzieci. Ryc. 26 w N. 32.

Fig. 31. Połowa przodu (T, U, V, W, X) × • × • × •
Fig. 32. Plecy (T, U, V, W) = o = o = o
Fig. 33. Rękaw (X, Y, Z, *) ⋈ • ⋈ •

N. X. *Koszula* dzienna zapinana z tyłu z kołnierzem wykładanym i mankietami dla chłopców lat 12—14. Ryc. 36 w N. 32.

Fig. 34. Połowa przodu z oznaczeniem gładkiego gorsu (s, d, e, f, g, m, × 1 i · 1) ✳ — ✳ — ✳ — ✳
Fig. 35. Połowa tylnej części stanu (a, b, c, :, *, +) — o — o —
Fig. 36. Karczek (a, b, c, d, e, l) — • — • —
Fig. 37. Patka z dziurką (f, g) — • — • — • —
Fig. 38. Połowa rękawa (a, h. i, k) × – × – × – ×
Fig. 39. Połowa paska do rękawa (i, k) + + + + +
Fig. 40. Połowa paska do wykroju szyi (l, m) •+— •+— •+—
Fig. 41. Połowa wykładanego kołnierza (n, o) • • • • •
Fig. 42. Połowa paska do kołnierza wykładanego (n, o) ⌒⌣⌒⌣
Fig. 43. Połowa zaokrąglonej części mankieta (p, q) ✳ ✳ ✳ ✳
Fig. 44. Połowa górnej części mankieta (p, q) ⸝ ⸝ ⸝ ⸝ ⸝ ⸝

N. XI. *Sukienka* ranna dla dziewczynki lat 6—8. Rycina 30—31 w N-rze 32.

Fig. 45. Przód (r, s, v, w, x, ·, +) i załamanie formy ⌐⌙⌐⌙
Fig. 46. Plecy i boczek (r, s, t, u, v, w, × 2 i · 2 do × 4 i · 4) jedno załamanie formy ∿∿∿∿
Fig. 47. Rękaw (x, y, z, *) × × × ×

Fig. 45a--47a. Zmniejszony rysunek zestawionych części sukienki.

N. XII. *Sukienka* formą princesse dla dziecka noszonego na ręku. Rycina 34—35 w N-rze 32.

Fig. 48. Połowa środkowej części przodu (1, 6) — ✳ — ✳ — ✳ —
Fig. 49. Boczna część przodu (1, 2, 7, 8) — • — • —
Fig. 50. Plecy (2, 3, 4, 5, 7, × 5 i · 5 do × 6 i · 6 — — —
Fig. 51. Karczek (3, 4, 5, 6) ⊢⊣ ⊢⊣ ⊢⊣
Fig. 52. Rękaw (8, 9, 10, 11) ⸝ ⸝ ⸝ ⸝ ⸝ ⸝

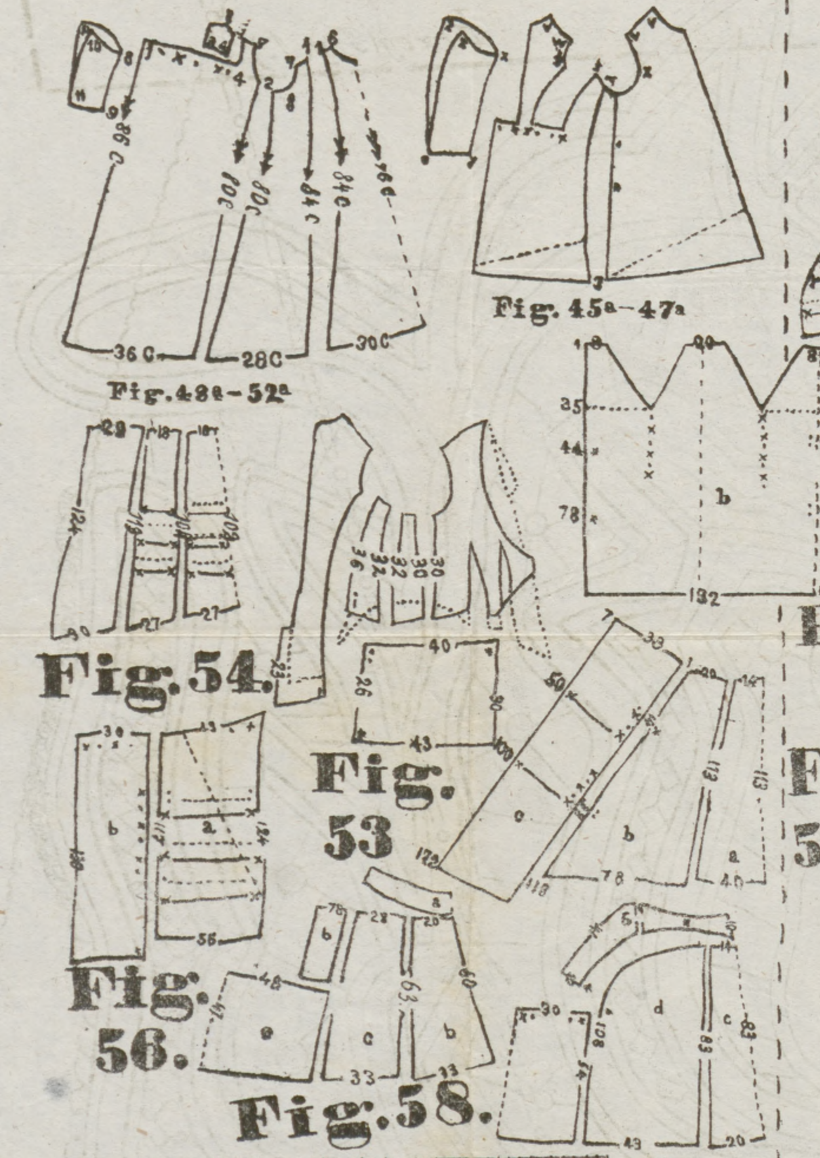
Fig. 48a—52a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy.

N. XIII. *Stanik* i tunika do ubrania ryc. 1 w N. 31 i do 16 w N. 32.

Fig. 53. Zmniejszony model połowy stanika, któren kraje się podług formy N. VIII.
Fig. 54. Zmniejszony rysunek i miary połowy tuniki, *a* połowa przedniego bryta, *b* bryt boczny, *c* połowa tylnego bryta.

N. XIV. *Spódnica* do sukni ryc. 35 w N. 31.

Fig. 55. Zmniejszony model i miary połowy spódnicy *a* połowa przedniego bryta *b* klin boczny, *c* połowa tylnego bryta.



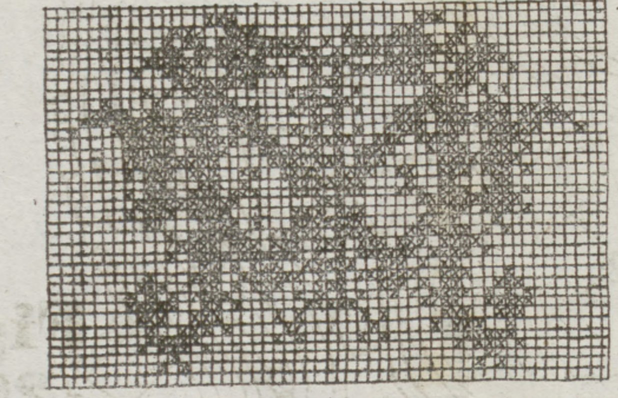


Fig. 57.

Fig. 59.

N. XV. *Tunika* do ubrania ryc. 6 w N. 32.

Fig. 56. Zmniejszony model i miary tuniki *a* na wierzch zachodząca część przodu z oznaczeniem drugiej mniejszej części, *b* połowa tylnego bryta.

N. XVI. *Spódnica* z długim paskiem z tyłu. Ryc. 20 w N. 31.

Fig. 57. Zmniejszony model i miary połowy spódnicy *a* przednia część paska, *b* tylna część paska, *c* połowa przedniego bryta, *d* klin, *e* połowa tylnego bryta.

N. XVII. *Spódnica* z kolistym paskiem. Ryc. 19 w N. 31.

Fig. 58. Zmniejszony model i miary połowy spódnicy *a* połowa paska, *b* połowa przedniego bryta, *c* klin boczny, *d* połowa górnego, gładkiego bryta tylnego *e* połowa dolnego fałdowanego bryta tylnego.

Fig. 59. Litery do haftu krzyżykowego na tece ryc. 13 i 14 w N. 32.

